

ZBIÓR POWIEŚCI

J. J. KRASZEWSKIEGO

Tom 62.

WYDANIE NOWE

PRZEJRZANE I POPRAWIONE PRZEZ AUTORA.

---

MISTRZ TWARDOWSKI.

I.

---

L W Ó W.

W księgarni Gubrynowicza i Schmidta,

przy placu św. Ducha 1. 10.

1874.

---

WARSZAWA.

W księgarni Michała Glücksberga.



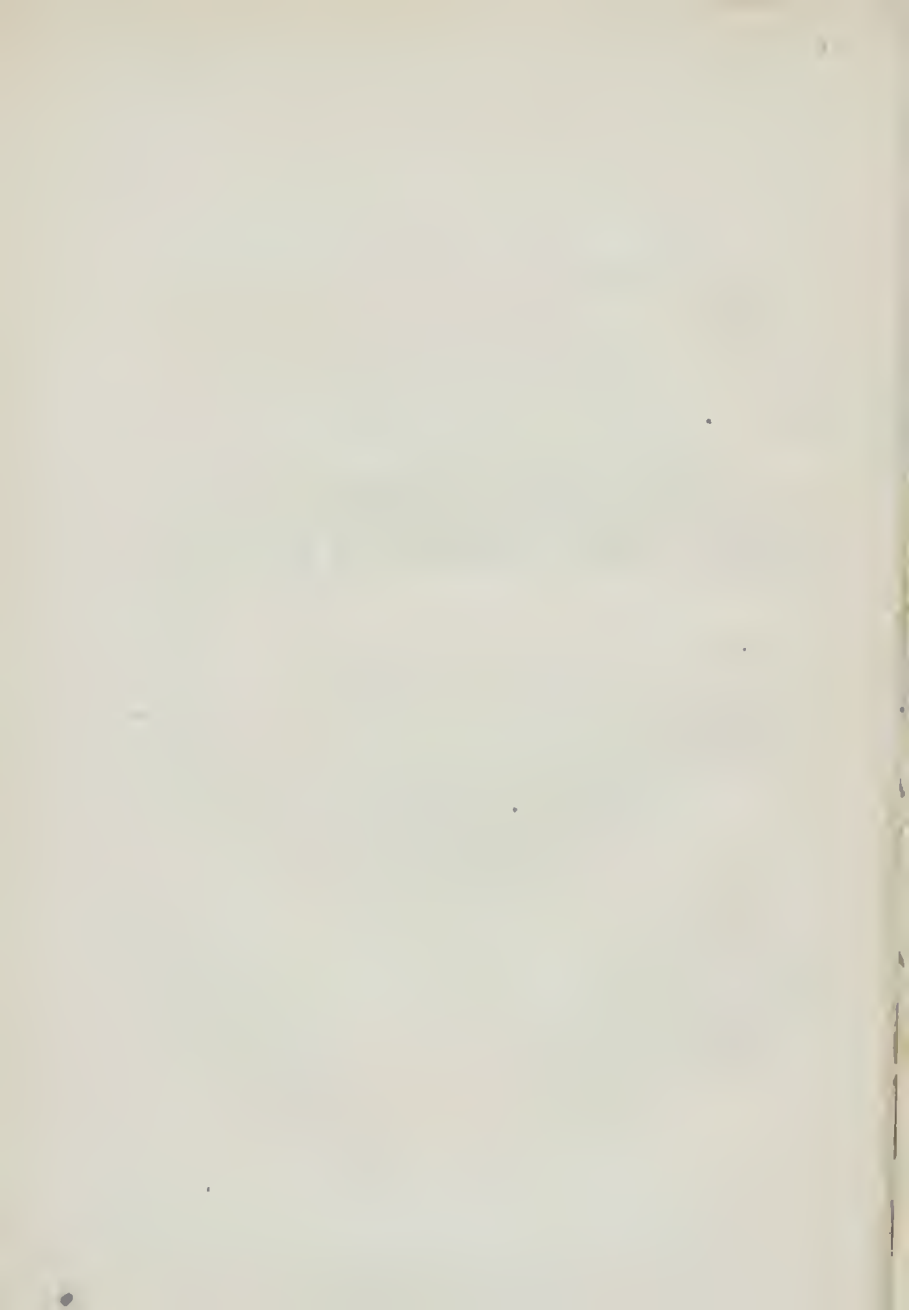
ZBIÓR POWIEŚCI

J. I. Kraszewskiego.

---

Wydanie nowe, przejrane, poprawione i uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom sześćdziesiąty drugi.





SZKICE OBYCZAJOWE I HISTORYCZNE.

MISTRZ  
TWARDOWSKI

POWIEŚĆ  
Z PODAŃ GMINNYCH

PRZEZ  
J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrzone i poprawione przez Autora.

---

Tom I.

---

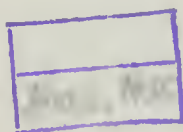
LWÓW.

W księgarni Gubrynowicza i Schmidta  
przy placu św. Ducha l. 10.

1874.

WARSZAWA.

W księgarni Michała Glücksberga.



---

Nakładem Pillera i Gubrynowicza & Schmidta.  
Drukiem Kornela Pillera.

Mistrz Twardowski jest próbą obrobienia ludowego podania — dostał on honoru tłumaczenia na język rosyjski przez Pobiedonoscowa. — Nic o niej więcej powiedzieć nie możemy, oprócz że to próba sklejenia z kawałków potłuczonego zwierciadła, na której znać i rysy i klej i to czego zabrakło i co dosztukowano. Z Twardowskim nikt szczęśliwszym pono nie był. Ciężkie to zadanie.

Twardowskiego Polacy wzięli nieochybnie z europejskiej, zachodniej legendy, tak jak Sowizrrała i Marchotta. Fantazja narodowa urobiła go na swój sposób, przechrzcila i przebrała w kontusz. Stracił charakter niemiecki, stał się zupełnie innym, ale czeka na poetę coby raz jeszcze w tygłu przesmarzył i uczynił zeń po stać prawdziwie narodową i poetyczną. Gdybyśmy dziś z Twardowskiego mieli co do zrobienia, pojęlibyśmy go inaczej. Dla tego młodzieńczej próby z roku 1839 wolęmy nie tykać wcale. *Sit ut est.*

Zachowały się w nim wszystkie szczątki legend o Twardowskim, powiązane jak można, ze zbyt wielkiem poszanowaniem litery... ich... Swobodniej by, wniknąwszy w tę legendę, postąpić z nią potrzeba. — Ale — po czasie to są uwagi — zatem niech idzie z Bogiem w świat, jak go tamta chwila nań wydała. — Odczytany po trzydziestu pięciu latach!!

**J. I. Kraszewski.**

Drezno 1874.



## ROZDZIAŁ I.

**Jako ojciec Twardowskiego napadnięty był w drodze,  
gdy do domu wracał. i co ztąd wyniknęło.**

Ciemną już nocą jechał szlachcic Twardowski, okolicą Podgórze, a było to w miesiącu sierpniu, i na burzę się zbierało. Koń jego spędzony długą drogą, nie był już posłuszny nagłym jeźdźca ostrogom, lecz naprzemian to po niebie spoglądał, to pod nogami gładszą ścieżkę wybierał. Nareszcie wjechali w zarośla gęste, któremi sunął się gościniec, poprzerzynany wybitymi przez deszcze wodomyjami; tu jeszcze straszniej zrobiło się szlachcicowi, jeszcze trudniej było iść koniowi, oddalone tylko błyskawice przemykające się po niebie czarnem, wskazywały niekiedy drogę, słabo ją i chwilowo tylko oświecając. Szlachcic wzdychał ciężko, bo dawno był już z domu, a w domu miał żonę młodą, żonę ukochaną, i lękał się zbójców, gdyż w trzosi wiozł dobry ładunek, spieniężony po stryju spadek. Koń wturując panu zżymał się, chrapał, nastawiał uszy i niekiedy się zatrzymywał, jakby się czego lękał, zwracając głowę ku zaroślom. Gdy jeździec nagli konia a koń się opiera, nagle przy świetle błyskawicy ukazały się w krzakach twarze kilku zbójców i dał się słyszeć głos przeraźliwy:

— Stój!

Zabłyśły w krzakach rusznice, i jeden poskoczył przeciw szlachcicowi, za nim drugi i trzeci się wysunął. Koń przestraszony w bok się rzucił, potem chciał naprzód ale nie mógł, bo go jeden ze zbójców chwycił silnie za uzdę.

Przelekniony szlachcic ręczo chwycił się do szabli, ale ratunek był nie prędki przeciw nastawionym ru-

sznicom opryszków, zawołał więc w sercu z rozpaczą:

— Ratuń kto żyw, choćby djabeł sam!

Gdy się tak oskoczony przez zbójców szablą im zasłania, a koń na tył przypada rwąc się temu który go zatrzymywał, nim opryszki strzelić czas mieli, po nad nimi w górze dał się słyszeć głos jakiś, który ich tak pomieszał, że staueli wryci zapomniawszy o podróży, i nie ciągnąc go już w las z sobą. On krzycheć zaczął, koń się wyrwał, a wtem nadbiegł z wielkim tententem drogą ogromny mężczyzna na czarnym koniu, prowadząc za sobą kilku jeszcze ludzi. Jak tylko go zoczyli, zbójcy odstąpili Twardowskiego, rzucili się nazad w zarośla, a on korzystając z niespodzianego ratunku, śpiesznie zaczął uciekać.

Tymczasem coraz się jeszcze zciemniało, chmurzyło, wiatr dał silniejszy, błyskawice przelatywały nad głowami szlachcica, który zimnym potem okryty, przerażony świeżym wypadkiem i myślą jaką miał w niebezpieczeństwie, mijał szybko zarośla, i wybiegłszy na pola dopiero żegnając się u Bożej Mcki na gładkim gościńcu, koniowi zasapanemu sfolgował.

Zaledwie zwolnił kroku, zdało mu się że za sobą tentent słyszy, obejrzał się niespokojnie — czarny jego wybawca jechał za nim sam jeden.

W chwili kiedy szlachcic po za się spoglądał, błyskawica oświecała twarz jeźdźca bladą dziwnego wyrazu, zdało się Twardowskiemu, że podobną widział u Panny Marji w Krakowie, odmalowaną na obrazie św. Michała Archaniola u nóg zwycięzcy. Wpadłszy na tę myśl, chciał się przeżegnać, ale ręką ruszyć nie mógł, a drugi raz nie śmiał się nawet obejrzeć, i zuowu konia popędził.

Tymczasem zbliżała się burza z ulewą, grzmot toczył się w chmurach, to poważny jak głos kaznodziei, to przeraźliwie trzaskający się jak gdyby niebo pękało, to nagle urywany i znów odbijający się w górach, odskakujący od ich boków, powtarzający się długo, umierający powolnie; błyskawice świeciły na niebie mijając jedna drugą, zlewając się, przerzynane sznur-

kami piorunów i ukazujące świat w dziwnym blasku, dziwnych kształtach. Deszcz ulewny trzepał w twarz podróżnego z wiatrem ciepłym i duszącym. Mimo huku grzmotów, szumu deszczu i wiatru, usłyszał wkrótce za sobą Twardowski te słowa czarnego towarzysza wymówione z uśmiechem:

— Dobry wieczór wam, tak-że to uciekacie ode mnie nie podziękowawszy nawet?

— Dobry wieczór, rzekł cicho szlachcic. Zaiste nie było czasu dziękować w lesie, a teraz trzeba szukać schronienia od burzy.

— O! do gospody daleko, odpowiedział czarny jeździec równając się z Twardowskim, a od zbójców jesteście teraz wasze bezpieczny. Zwolnij więc kroku, mamy coś z sobą do pomówienia.

Musiał Twardowski uczynić jak chciał wybawca, lecz gdy konia wstrzymywał, przejmował go mimowolnie strach, kto wie czy nie gorszy jeszcze od tego, którym był przejęty, gdy go zbójcy napadli.

— Wezwałeś mnie wasze i przybyłem, rzekł czarny po chwili.

— Ja? — spytał szlachcic — ja?

— Przypomnij tylko sobie, zawsze uśmiechając się mówił dalej towarzysz, alboż nie rzekł w sobie: Ratusz, choćby djabeł sam!?

— A któż ty jesteś?

— Ten kogoś wyzwał, odpowiedział spokojnie czarny, jestem djabeł.

Twardowski począł drzeć mocno, i ciągle chciał się zegnać, a ciągle ręki podnieść nie mógł, choć ją miał wolną, czuł w niej jakiś ciężar niezwyčajny.

— No! cóż tak milczysz, rzekł djabeł, czyliś mi nie rad? Wszakże w czas przybyłem, a gdyby nie ja, przepadłbyś i ty i twój trzós dobrze nabity, a żona by płakała!

— Mówże co chcesz za to, a puść mnie wolno! wybąknął szlachcic ze strachem.

— Ja nie wiele wymagam, nie wiele! pieniędzy nie potrzebuje, duszy twojej broni pacierz żony i twoje jałmużny.

— A czegoż chcesz? czego? spytał ośmielony już Twardowski, mówże prędko.

— Na co się spieszyć! odpowiedział djabeł, noc długa jeszcze, a ja nie mam nic do roboty.

Westchnął podróżny, ale cóż było z djabełem robić, musiał go słuchać. Jechali ciągle, a siwy koń szlachcica drżał pod nim i zżymał się nieustannie.

— Wiesz co djabeł, rzekł w końcu Twardowski, weź sobie co chcesz, ale puszczaj mnie prędej.

— Na co się spieszyć, odpowiedział djabeł, twój koń zmęczony, gospoda daleko — będzie czasu, będzie jeszcze dosyć czasu.

— Ale cóż przecie chcesz odemnie?

— Właśnie o tem myślę, odpowiedział czarny jadąc ciągle obok Twardowskiego.

Szlachcicowi coraz ciężej robiło się na sercu, coraz większy brał go strach, i nie już nie zważał na wzrastającą burzę po nad głowami, na bijące pioruny — nie słyszał huku grzmotów, nie czuł ulewnego deszczu.

— Nie chcę cię bardzo odzierać, rzekł nareszcie szatan ze śmiechem, oto dasz mi to, co zastaniesz w domu, a o czem nie wiesz, czego się nie spodziewasz, na co nie rachujesz; tym sposobem nie poniesiesz żadnej straty, a mnie wynagrodzisz.

— Ale — cóż to być może?

— Czyż ja wiem! rzekł djabeł, to się później okaże, mnie lada co wystarczy, teraz tak mało zyskujęm.

— A więc dobrze, odpowiedział Twardowski po chwili namysłu, ośm dopiero miesięcy jak wyjechałem z domu, nie wiem co by tam przybyć mogło! Zgoda!

— Zgoda! powtórzył radośnie szatan, doprawdy zgoda? słowo?

— *Verbum.*

— *Verbum nobile, debet esse stabile*, dodał djabeł. Czekajże! To mówiąc zatrzymał konia, i szlachcicowi także stanąć kazał. Po nad ich głowy warczała burza, lał wzmagający się jeszcze deszcz, szatan wskazał szlachcicowi rozłożysty dąb stojący po nad drogą, i tam go zaprosił.



Tu nie wiedzieć jak zniknął koń, a szatan zostawszy pieszo, począł dobywać z kieszeni różnych manatków, naprzód kawałek świeczki z trupiej tłustości, potem długi list pargaminu, potem kałamarzyk z inkaustem i pióro.

Wszystko to działo się niezmiernie prędko, a szlachcic siedział na koniu i drżał patrząc na przygotowania. Djabeł potarł świecę o nogę, i zapalił ją, siadł potem pod drzewem, i zaczął pisać szybko położywszy pargamin na kolanie, cyrograf. Trwało to tylko chwilę; wnet zerwał się i podał do przeczytania Twardowskiemu, który przy świetle bladym świeczki przebiegł oczyma formalnie sporządzony akt, i sięgnął po pióro do podpisu.

Ale wtem szatan ujął go za lewą ręką. i nim się miał czas opamiętać, ukłuł w mały palec, umoczył we krwi piórko, i dopiero je podał. W milczeniu podpisał się szlachcic *manu propria*, wzdychając i ledwie ostannie głoski kończył, ogarnęła go niespokojność jakaś jeszcze gorsza niż wprzód, nie spojrzął już nawet na djabła, zawrócił, poparł konia i leciał bez pamięci. Lecz gdy tak bieży, a koń posłuszny choć zmęczony wyciąga się jak może, zdało mu się jakby wśród burzy i grzmotów słyszał kilka razy za sobą śmiech przeraźliwy, prze-rażający śmiech, jakiego usta ludzkie nigdy nie wydały.

Pytał się siebie co to być może? co to być może?

— Może sowa huczała, może puszczyk tak śpiewał, może wiatrak tak świstał.

Lecz w duszy wiedział, że nie tak huczy sowa, nie tak puszczyk śpiewa i nie tak wiatrak świszcz; tęskny pędził dalej do domu.

---

## ROZDZIAŁ II.

### Co zastał w domu ojciec Twardowskiego.

Już zdawało się, że dom Twardowskiego, już bielał komin nad nim, i czerniało gniazdo bocianie, i szarzały stodoły i gumna, i połyskiwała sadzawka, po której pływały gęsi i kaczki. Twardowskiemu okropnie, smutno biło w piersiach serce. nagiął konia, chciał skoczyć od razu w dziedziniec, modlił się i płakał, i niespokojny był jak tam w domu zastanie żonę... Ośm miesięcy kończyło się od jego wyjazdu.

Upatrywał i przyglądał się, czyli czego nie zobaczy, coby go uprzedziło o żonę, o dom, o jakiego znaku, jakiego człowieka, ale w oparzanym dziedzińcu tak było spokojnie! ani żywej duszy do koła; musiał czekać przybycia, a zdawało mu się, że koń wlece się jakby ochromiały. Coraz bardziej chwyciła go nieopisana niespokojność, pot lał się z czoła, czuł gorąco, duszność i duszność w piersiach, choć skwar dniowy już był ustał, a słońce chyliło się do zachodu.

Zbliżył się do wrót, wrota na pole były otwarte, nikogo w dziedzińcu; puste były ławki na ganeczku, i pusta ławka pod lipą, gdzie zawsze siadała Hanna jego wieczorem. Coraz marszczyły mu się brwi, i serce ścisnęło, i oczy miały się do łez, a koń czując stajenkę domową, pod ganek pośpieszał.

Stał wreszcie — nikt nie wyszedł. Czemuż nikt nie wyszedł na spotkanie? Szlachcic porzucił siwego, a sam wbiegł do sieni; wtem drzwi bokówki skrzypnęły, i z palcem na ustach wybiegła stara babka Magda.

— Cicho, panie, cicho! żona wasza pológ leży! powiła wam szczęśliwie syna! Nie wbiegajcie tak nagle, mogłaby jej wielka radość zaszkodzić!

Gdy to mówiła Magda, szlachciec wspomniął od razu na diabła, zdało mu się że w uszach śmiech szyderski zatętnił, i porwał się za głowę.

— Syna urodziła! zawołał.

— Syna, odpowiedziała stara, nie ma jak kilka godzin com go przyjęła! Wyście tak sobie życzyli syna! Bardzo szczęśliwie urodziła! nie prawie nie cierpiała dobra pani! Poszliście na wotywę do Matki Boskiej.

Szlachciec stał osłupiały, nareszcie z ciężkiem westchnieniem uderzył się w głowę, i smutny wyszedł na ganek.

— Oznajmcie jej tam o mnie! rzekł do starej. Magda poszła kiwając głową, i nie pojmując co się stało szlachcicowi, że go dobra nowina tak mało cieszyła.

— Osobliwsza rzecz, myślała, cóż to w tem jest za tajemnica! Czegoż to on tak smutny? A co się miał weselić i Bogu dziękować, to się jeszcze krzywił, gdy mu o synu oznajmiła. Coś to jest w tem! Tak mrużąc weszła do bokówki, której drzwi i okna zabite były matami.

Szlachciec tymczasem zdjął sakwy podróżne z siwego, i oddał go parobkowi, który do nóg mu się kłaniając, syna i szczęśliwego powrotu winszował. Smutny Twardowski nie odpowiedział.

Tymczasem stara Magda weszła i przysiadła u łóżka pani Hanny.

— Z dobrą przysłałam nowiną, rzekła, mówił mi parobek z Olszowa, że naszego pana widział!

— Gdzie? zawołała porywając się Hanna, gdzie?

— O! o! tylko się tak nie radujcie, żeby to wam nie szkodziło, bądźcie spokojni! Parobek widział go wczoraj na drodze wracającego.

— Więc dziś będzie! może już jest! zawołała Hanna znowu — biegajcie Magdo, zobaczcie.

— Podobno, odpowiedziała stara, podobno powrócił! słyszałam tentent w podwórku!

— A idźcież go prowadźcie! powrócił mój drogi! powrócił! I zarumieniona siadła na łóżku. Magda wyszła i kiwnęła.

— Chodź panie, jużem was oznajmiła.

Wszedł pan Twardowski i drgnął na progu usłyszawszy krzyk nowonarodzonego dziecięcia, potem rzucił się do łóżka, na którym zarumieniona radością Hanna leżała, osłabiona, biała, oddychając ciężko i płacząc z ukontentowania. Odjazd męża, niespokojność o niego, długie oczekiwanie, myśli o niebezpieczeństwach podróży i cierpienia własne, uczyniły ją bladą, lecz żywy rumieniec wypłynął na twarz, kiedy się dowiedziała o mężu, gdy bez słów w niemym uścisku, znouu się spotkali oboje. W tej chwili zapomniiał Twardowski o synu i o djabie, i o całym świecie, ale kiedy Hanna podała mu dziecko, i słabym głosem prosiła aby je pobłogosławił; on smutny na nie spojrzał, i przypomniał sobie, że to dziecko nie jego już było! Dziwny był żonie ten smutek, który się przed jej okiem nie ukrył, ale nie śmiała pytać i mówić, położyła się tylko i westchnęła cicho.

W kilka dni Hanna nie żyła, ale żyło dziecko. P. Twardowski smutny pozostał z synem jedynakiem, a jego domek opustoszał, chwastem zarósł dziedziniec, zrujnowały się gumna, poszła w nie gospodarka, bo pan o nią nie dbał, i chodził ciągle opętany myślą, że syna djabłu zaprzedał.

### ROZDZIAŁ III.

#### **Jako Twardowski wyrósł i jako szedł do piekła cyrograf odbierać.**

Dziecię trzeba było ochrzcić. Posłał ojciec po księdza do Proszowic i sprosił w kumy sąsiadów, ale djabeł nie spał. Kumy przyjechali, a księdza posłaniec zastał na marach.

Posłano po drugiego, drugi był śmiertelnie chory. Trzeci wybrał się w drogę, ale w drodze go konie ponosiły i potłukły.

Zniecierpliwiony ojciec widząc w tem djabelskie sztuki, sam pojechał po czwartego, ten wiedząc już o przypadkach trzech pierwszych, a lękając się dla siebie czego złego, zwłaszcza że chodziły o tem jakieś wieści dziwaczne, nie wiedzieć przez kogo rozsiane, za nie pojechać nie chciał.

Niezrażony tem szlachcic pojechał do Krakowa, i proboszczowi u św. Florjana całą rzecz wyjawiał. Ten pobożny staruszek, namyśliwszy się, dał mu relikwie i kazał przywieźć dziecko do Krakowa, zresztą żadnej rady ani pociechy.

Twardowski zawiesiwszy świętości na szyi dziecięcia, wybrał się z niem, w tegiej kolasie, czterma końmi zaprzęzonej. Rano wyjechawszy spodziewał się stanąć wieczorem w Krakowie, lecz zaczęła się ulewa, burza i wichur taki, że musiał stanąć w najbliższej gospodzie i czekać lepszej pory, do dalszej podróży z dziećciem.

Zaledwo koniom obrok zasypiano, wyjaśniło się niebo, szlachcic znowu wyjechał i znowu zachmurzyło się, wiatr zadął, znowu się burza zaczęła, ale on utuliwszy dobrze syna na nie już nie zważając jechał da-

lej. Dwa razy kolasa przewróciła się w drodze, dwa razy konie unosiły i tylko krzyż pański ratował, nareszcie nabłądziwszy się i przebywszy tysiąc przeszkód, dostali się do Krakowa.

Nazajutrz rano mamka z dzieckiem idąc do kościoła, ledwie cudem siebie i niemowlę od kilku przypadków uratowała. Napadł ją był naprzód pies ogromny, zastępując jej drogę i warcząc, póki go nie przeżegnała, potem jeździec jakiś ciągle ją koniem ścigał i mało nie roztratował, pędziła kolasa, od której ledwie umknęli, a we drzwiach kościelnych pośliznęła się i padła. Szczęściem ojciec dziecko pochwycił i jakoś je ochrzczono.

Powrót do domu był już zupełnie spokojny, ale od tej pory wszystko Twardowskiemu nieszczęścić się zaczęło; djabeł płatał mu figle nieustanne, nawodził wiatry, chmury, grady, burze, pioruny, ulewy, ogień i złodziei, pomorek na bydło, wilków na stado. Szlachciec wszystko wytrzymał bez skarg i uzaleń.

Dziecię tymczasem rosło i czem będzie rokowało za wcześniej; rozwijał się w niem dowcip nad wiek jego, a wszyscy mu się dziwowali w okolicy i zazdrościli ojcu. On jeden smutno poglądał na syna, brał go na kolana, całował i płakał. Dziecię miało już lat dziesiątek, nie raz widziało łzy ojcowskie i jakby coś o sobie przeczuwało, poczęło się dopytywać. Ojciec biedny taką czuł potrzebę wylania się komukolwiek, że w końcu przygodę swoją i łez przyczynę, małemu opowiedział. Chłopiec naówczas porwał się wesoło z kolan ojcowskich i zawołał:

— O! tatusiu, to ja na to dam radę! pójdę do piekła i odbiorę ten zapis!

Z tą myślą wzrósł chłopiec, i zdawał się tylko czekać starszych lat do jej dopełnienia, nieustannie o tem ojcu mówił, dodając mu ducha, modląc się do N. Panny, aby mu dopomogła. Oddał go ojciec do szkoły Wszystkich Świętych w Krakowie. Dziecię uczyło się pilnie i obiecywało wiele, a że myślało zawsze jakby djabełu odebrać to pismo ojcowskie, jeło się nabożeń-

stwa, prosząc nienastannie Boga, aby je wsparł. Dwie i nocy upływały na modlitwie, na rozmyślaniu i czytaniu świętych rzeczy. Tak doszedł chłopiec lat piętnastu i naówczas pomyślał sobie, że czas już było pójść do piekła.

A był wówczas dzwonnikiem u Wszystkich Świętych, pobożny starszek; zwano go Dominaszkiem, bo był małego wzrostu i schylony latami, których liczby już nie pamiętał. Świątobliwy to był człowiek, a wszystkie baby i dziady i wielu szlusznych ludzi bardzo go poważało a nie raz i o radę prosiło. Mowiono że miał widzenia z obrazów, że robił cuda. To pewna że od innych był pobożniejszy.

Do niego postanowił chłopiec pójść po radę. Jednego tedy popołudnia, zastał go na smętarzu klęczącego na kamieniu u drzwi kościelnych i śpiewającego wianek różany. Siwa broda spływała mu na wyschle, odkryte piersi, a łysa głowa schylona, zdawała się z daleka świecić promieniami. Nie śmiał mu chłopiec przerywać modlitwy, lecz gdy starzec wstał o kiju, skłonił mu się, pocałował go w rękę i poprosiwszy żeby usiadł, tak mówił.

— Mój ojcie, zewsząd slysze o waszej świątobliwości i o zbawiennych waszych radach. Jestem w ciężkim razie, chcecie mi dopomódz.

— Czem-że ja wam dopomódz mogę? jakiej-że rady chcecie? spytał starszek.

— Oto tak rzecz się ma, rzekł chłopiec. Mego ojca djabeł ratował raz w drodze i wymógł na nim za to zapis, że mu odda to, co w domu znajdzie, a o czem nie wie i czego się nie spodziewa. Właściem się ja wówczas urodził, i o mnie się to szatan targował. Długo on przeszkadzał żeby mnie nie ochrzczono, lecz Bóg jakoś ojcu dopomógł, że w końcu proboszcz od Ś. Florjana mnie ochrzcił. Teraz chce mi się, ojcie, pójść do piekła i odebrać zapis ojcowski.

Świątobliwy starszek, myślał długo i wzdychał głęboko, potem dał chłopcu taką naukę.

— Możesz tego dokazać, rzekł, ale trzeba się wprzód



spowiadać i komunikować na te drogi, a idąc do piekła ni w czem nie zgrzeszyć. Weź z sobą kropidło i wodę święconą i relikwie święte, z tem bezpiecznie wejdiesz do piekła: chociaż nie bez trudności, bo cię szatan kusić będzie po drodze.

Gdy się wypowiadasz i przyjmiesz Przenajświętszy Sakrament, wyjdź za Kraków w pole, a tam ujrzysz przed sobą mysz polną, która cię prowadzić będzie i do bram piekła zaprowadzi. Gdy będziesz ich blisko, a to łatwo rozpoznasz, zaczniesz śpiewać Wianek różany, albo psalm który i święconą wodą kropić: tak machając wokoło wejdiesz do środka i póty kropić będziesz a śpiewać, póki ci djabeł zapisu nie odda. Zresztą duch święty natchnie cię co będziesz miał czynić, pamiętaj tylko, żebyś w drodze nie zgrzeszył, boby zły duch miał moc nad tobą.

Wysłuchawszy tej rady chłopiec, podziękował za nią starszuskowi, nazajutrz zaraz poszedł do spowiedzi, przystąpił do komunii, wziął z sobą święconej wody i wyszedł za Kraków.

Tu ujrzał mysz polną przed sobą, właśnie jak mu starszek zwiastował i poszedł za nią. Z oczyma wlepionemi w ziemię, szedł tak modląc się i unikując nawet spejrzeniem dać sobie do grzechu okazji. Przez cały czas nie nie jadł i oczu nawet nie podniósł, a gorąco się tylko modlił.

Ku wieczorowi pierwszego dnia posłyszał za sobą głos, który nań wołał:

— Chłopczyku! Chłopczyku! a dokąd to idziecie?

Mimowolnie odwrócił się i ujrzał cudne dziewczę same jedne w polu szerokiem, które biegło ku niemu. Była to prosta wieśniaczka, ale bardzo młoda, bardzo piękna. Nigdy żadna z tych pań, co w złoconych kołassach jeździły po Krakowie, nie wydała mu się tak hożą, tak wdzięczną i miłą. I wołała na niego takim głosem, takim głosem, że zdawało się chłopcu jakby mu się coś koło serca odrywało. Prędko jednak domyślił się że go to szatan tak kusi, oczy zamknął, modlić się zaczął i nie na pytanie nie odpowiedział.



— Chłopczyku! chłopczyku! wołała, czyś ty głuchy, czyś ty ślepy? poczekaj! poczekaj, ja zblądziłam, pójdziem razem.

A chłopiec nie odpowiedział, tylko goręcej się jeszcze modlił.

Nareszcie uczuł że się ku niemu zbliżała i śmiejąc się targła go za faldy i mówiła:

— Chłopczyku, czemuż ty mi nie odpowiadasz? aj! piękny chłopczyku, już się zmierzcha, ja się boję iść sama, pójdziem razem! nieprawdaż?

— Ja się modlę i idę do piekła, odpowiedział chłopiec, jeśli chcesz to idź za mną.

Dziewczyna odskoczyła i rozsmiała się.

— Szalony! żartujesz! Zobaczę i ja gdzie to te piekło. I szła za nim ciągle, szydząc z niego, to znów prosząc go, aby się zatrzymał; on na wszystko był głuchy. Słońce już było zaszło, a jeszcze nie widać było żadnej gospody na drodze, dziewczyna śpiewała idąc za nim piosneczki wieśniacze, on patrzył na mysz i szedł i modlił się. Ciemniało, ona szła za nim jeszcze, ale coraz dalej, nareszcie próbując rozmowy wszystkimi sposobami i nie mogąc jej zawiazać, łajając go zaczęła.

— A hultaju ty hultaju! wołała, pięknież to tak, dobrze nie chcieć poratować, słówka nie powiedzieć do biednej dziewczyny. Piękny jesteś a dziki i nie ludzki. Zmiluj się, poczekaj, widzisz że się zciemnia, siadźmy i odpocznijmy.

— Ślubowałem Bogu nie odpoczywać, rzekł chłopiec. Dziewczyna mu się śmiała.

— Do licha nie dalekoż ty zajdziesz!

— Bóg mi sił doda! rzekł chłopiec znowu.

Zbliżali się do wielkiego lasu, a na kraju jego stała gospoda wygodna, dymiło się jej z komina, czuć było smarzenie z kuchni i widać dużo ludzi, a przed chłopcem była puszcza i noc. Dziewczyna zatrzymała się u drzwi gospody i kusila go jeszcze.

— Chodź, przenocujem razem, a jutro pójdziem dalej w drogę.

Chłopiec milcząc szedł dalej i okiem na gospodę nie rzucił i chwili się nie zatrzymał. Dziewczyna jęła go łajać i śmiać się znowu.

— A cóż to za żak głupi, wołała, nawet się do mnie nie obrócił, nawet nie zagadał do mnie! o! brzydniku, brzydniku, nie daleko ty zajdziesz, zabiją cię zbójcy, zabiją cię w lesie. — A potem szepotała mu jeszcze:

— Ej, chodź przenocujemy razem, a potem pójdziem w drogę! Chłopiec minął gospodę, szedł dalej. Gdy się zupełnie zciemniło, czarna mysz świeciła oczyma i pokazywała drogę, weszli w las głuchy i szli długo, bardzo długo. Ciemno było i straszno, a chłopiec się modlił i modlił do N. Panny. Wśród lasu napadł na jakichś ludzi, którzy odzierali podróżnego przybitego a ci zaczęli na niego wołać ujrawszy go.

— Hej! chłopaku, chodź no do nas, a pomóż nam nieść pieniądze do jaskini, to ci ich damy za to pełną czapkę i pójdiesz sobie jutro zdrów w dalszą drogę. Stój, nie idź dalej, bo do ciebie strzelim.

Chłopiec jakby nic nie słyszał, szedł spokojnie i minął ich. Uczynił był ślub nic nie jeść, a głód i pragnienie mocno mu dokuczały; po drodze zaś to tam to tam nawijały mu się z jedzeniem pogubione sakwy, spotykał podróżnych którzy go prosili na obiad, na przekąskę. Wisiały owoce na drzewach i spuszczały się z gałęzi ku niemu. Nic go przecie nie skorciło.

Nie wiem którego tam dnia, zaczęła się dawać czuć siarka i smoła i ziemia gorąca była pod nogami, wszedł chłopiec w las znowu, gęsty i czarny. Szeroki wiódł środkiem gościniec i bity trakt a ludny. Jechały nim kolasy wielkie i wozy kmiece, szli piesi różnego stanu i wieku, mnóstwo ludu jak mrowia. Chłopiec to tylko uważał po nich, że wszyscy prawie mieli oczy zamknięte, jakby śpiący lub umarli; on jeden między nimi na żywego wyglądał. Tu już mysz z przed niego znikła, a on się domyślił, że był na drodze do wrót piekielnych.

---

## ROZDZIAŁ IV.

### **Jako Twardowski zaszedł do piekła, i co tam widział.**

Tem goręcej modlił się chłopiec, im bardziej czuł że się zbliżał do piekła. Nie oglądał się nawet na otaczające go postacie, których coraz liczba się zwiększała. Był to jednak ciekawy widok, gdyż do piekielnego gościńca szerokiego i przestronnego, mnóstwem ubocznych ścieżek, ciżba ludu dążyła.

Jedni tam jechali poszóstno w kolasach złoconych, które zamiast koni ciągnęły grzechy ich, pod postacią ohydnych poczwar, ubranych w bogate rzędy, na których zamiast pereł i kamieni drogich świeciły łzy ludzi kroplami, pot ludzki i krew ludzka.

Drugich ciągnął do piekła brzuch nienapchany, w którym widać było przejedzone wioski i zamki i sioła i strawione kupy złota, spożytą spokojność rodziny, pochłonięte wszystkie cnoty.

Inni szli pijani i zdawało im się że przed nimi wiozą kufę wybornego kanaru, na którą zmrużone, czerwone oczki, zwracali miłośnie.

Szedł tam i chudy jakiś djalektyk z Teolgji Scho-lastycznej woluminem pod pachą, podpierający się Arystotelesem, zaprzężony za kark do ogromnego pióra, które go ciągnęło.

Przed innymi toczyły się dukaty po gościńcu, a oni nsiłując je złapać, już już je doganiając co chwila, suli z zaiskrzonym wzrokiem, roztwartą dlonią, dyszącą piersią do piekła.

Innych wabiąc wiodła czarnooka dziewczyna i coraz dalej za sobą prowadziła. Gdy się odwracali, nie widać już było za nimi ich domu spokojnego, ich życia swobodnego, ich przeszłości złotej, wahali się, lecz za skinieniem, uśmiechem dziewczyny, biegli do ot-

chłani znowni. Jeśli poczęli ustawać spotniiali, zużeni, naówczas ona, ukazywała im jakby od niechcenia, z pod białej szaty kryjącej utoczone ciało białe, to kolanio, to pierś lubieżną, to nogę, to ramiona labedzie — oni znowni nabierali sił, zawrzala w nich krew, zakipiał mózg, zatrzesło się serce, i szli dalej a dalej.

Byli tacy co patrząc w niebo szli do piekła.

Byli tacy, których wiodli za rekę własne dzieci, wychowańce i słudzy.

Byli inni co tylko ogony swych pań i poduszki swych panów dźwigając z niemi do piekła dążyli.

Szli i złodzieje, kradnąc po drodze, co się nawinęło, kradnąc nawet grzechy cudze z kieszeni podróżnych, radzi że im się nigdzie Pilat i szubienica nie nawijała na oczy.

Szły śpiewając i podskakując kobiety jakieś z rozczochranym włosiem, z swawolną pieśnią w ustach, swawolniejszym uśmiechem jeszcze, a najswawolniejszym wejrzeniem, którem rzucały jak wędą na przechodniów.

Był tam opasły opat z przymrużonem okiem, drzemający spokojnie w krzesło, które z nim nieśli do piekła niewidzialni słudzy. Za nim dźwigała misę potężną jakiegoś przysmaku, tłusta gospoia; a dzbanek kantor z klechą oburącz.

Szli tam i wielcy panowie dumnie przeciskając się przez motłoch, gniotąc nogami jakichś biednych, którzy z drogi wracali, a przed nimi nieśli szatani buławy i infuły i laski i senatorskie krzesła i tytuły cudzoziemskie.

Były tam dziwnie dobrane pary, wiodące się to za ręce pobrawszy, to za kark to za poly.

Jednego burmistrza wiodła jejmość za nos porwawszy prosto w otchłanie piekielne.

Jednego młodzika, podżyła już niewiasta niosła przydeptanego w trzewiku.

Jednego staruszką, prowadziła dziewczyna za ostatki siwych włosów zajawszy w pośrodku głowy.

Innych szatani chwyтали za oczy, za nos, za nogi,

za uszy, za ręce i tak ciągnęli niemilosierdzie.

O! zaiste, ciekawy, jedyny, był widok piekielnego gościńca, lecz chłopiec tak był swoją modlitwą zajęty, że nie a nie nie widział. Nareszcie stanął razem z otaczającym go tłumem u wrót piekielnych, których zewnątrz nikt nie strzegł, owszem wystrojony odźwierny, przyjmował niskim ukłonem i drzwi na rozcień otwierał. Ten gdy ujrzał młodego chłopca z kropidłem w ręku, śpiewającego pieśń nabożną, czystym głosem dziecięcym, zaparł drzwi prędko i nasrożył się. Nie widział tego nawet Twardowski, pokropił wodą święconą, drzwi się otworzyły, on wszedł.

Uderzyły go natychmiast jeki wydobywające się z otchłani piekielnej, które zagłuszyły na chwilę jego śpiew lekliwy, lecz taka była moc tych słów, które wymawiał chłopiec, że przed nim nie chciała wrzawa piekielna, wszystko zamilkło i poczet czarnych djabłów przestraszonych, wybiegł naprzeciw.

Chłopiec tymczasem śpiewał i kropił na wszystkie strony.

— Czego tu chcesz duszo czysta? zapytał jeden. Czego tu chcesz? czego tu chcesz? powtórzyli chórem inni; a wszyscy odskakiwali i kurczyli się na każde ruszenie kropidła.

— Chcę i szukam cyrografu, danego na moją duszę przez ojca, odpowiedział Twardowski i śpiewał dalej i kropił znów. Djabli znikli, on szedł w głąb, aż do najciemniejszej jaskini, w której siedział sam Lucyper, wółz i głowa zepchniętych z nieba aniołów.

Gdy i tu kropidłem począł wywijać jak szablą chłopiec, a szatani opatrzyli iż go z żadnej strony pochwycić nie mogli, gdyż był czysty i niczem od spowiedzi niepokalany, poczęli z nim wchodzić w układy. Powiedzieli mu z początku iż cyrograf zginął i traktowano go w zamian pieniędzi.

Potem dawano mu kobietę, jaką by sobie na świecie wybrał.

Potem godność jakiejby zażądał.

Potem władzę jakiejby sobie życzył.

Potem powiedziano mu, że djabeł, który od jego ojca wziął cyrograf na jego duszę, nie znajdował się w piekle, lecz podróżował po świecie i przy sobie nosił papiery. Na to wszystko odpowiadał chłopiec kropidłem, którego djabli niezmiernie się lękając, musieli wreszcie posłać po tego, który cyrograf miał.

Przyprowadzono go po chwili, ale się zaparł, że jako żywo nie miał i nie brał żadnego zapisu.

Znowu chłopiec użyć musiał kropidła, znowu djabli przyrzekli mu oddać cyrograf, przynieśli kufer ogromny i kazali mu szukać. Co tam się w nim znajdowało trudno wyliczyć; były tam papiery zrzucone bez porządku, z różnych lat, języków, krajów — istne archiwum szatańskie, w którym dopiero pomodliwszy się do Ś. Antoniego, patrona rzeczy zgubionych, wynalazł chłopiec zapis na swoją duszę.

Widząc djabli że nic nie nadszedł, musieli mu go oddać, lecz w oczach chłopca przysięgnął djabeł, który ojca jego skusił na cyrograf, że duszę jego i bez tego zapisu weźmie. Tej przysięgi nie słuchając chłopiec, kropiąc znowu i śpiewając *Te Deum*, zawrócił się, aby wyjść z piekła.

Lecz trudniejsze to było, niż wejście do niego. Zamykały się przed nim wrota, znikaly mu drogi z pod nóg, waliła się ziemia, trzęsło się sklepienie, napadały go straszysła, wabily go łakocie, jadła, napoje, dziewczęta i chłopcy, znajomi ludzie wyciągając rece ku niemu. wzywali go do rozmowy, weszli jacyś panowie szlachta otaczali go kołem, aby przytrzymać; — lecz Twardowski uwiesć się nie dał, bo modląc się żarliwie widział pod skórą tych wszystkich mar utajoną zdradę i przez ścianę słyszał męki potępienców. Trafił nareszcie na swoją drogę i wyszedłszy za wrota, które mu jedną nogę przyskrzypnęły nieco, tak że potem trochę na nią nakulewał, na świat znowu powrócił. Tu padłszy na kolana Bogu dziękował, a potem pędem puścił się przed siebie.

Ale na tej drodze, tak wprzód tłumnej, nie już teraz nie widział, a ściskając w ręku cyrograf, na

oślepił. O kilkoro staj zaczęła go znowu prowadzić mysz, i wywiodła go aż do domku ojcowskiego pod Proszowice.

Wszedł i padł ze znużenia na progu chłopiec, a gdy go otrzeźwili, opowiedział ojcu podróż swoją, ukazał cyrograf wydarty djabłu, którego spalono, zaraz na poświęconym ogniu, aby z węgla jeszcze nie mógł go dobyć szatan. Tak ojciec Twardowskiego, na stare swoje lata spokój odzyskał; lecz wkrótce potem gdy do szkoły wrócił chłopiec, przyszedł parobek, oznajmując mu o śmierci ojca, który nie długo przeżył odzyskanie syna.

Oplakawszy go Twardowski, a zasmakowawszy w nauce, pozostał jeszcze nadal w szkole, której Senior, zamilowanie jego i pilność do serca wzięwszy, przyjął go pod swoją opiekę.

---



## ROZDZIAŁ V.

### Jako się stał uczonym i sławnym Twardowski.

Lecz nie darmo zakładał się był szatan na Twardowskiego, odtąd bowiem usiłując go podejść i duszę jego pochwycić, nie odstępował go krokiem, niewidzialny czuwał nad nim i szukał w duszy jego szpary, którąby w nią mógł dech swój zaraźliwy wpnieść. Czysta jednak była jeszcze dusza młodzieńca, i czystsza od rówieśniczych; zajęty nauką, którą obrał za gwiazdę i nadzieję życia, on na resztę świata jakby nie patrzył, nie czuł wszystkich zgubnych ponęt rokoszy, i nie widział dróg do grzechu. Jeszcze nie była wybila jego godzina. Bo każdy człowiek, choćby najrozumniejszy, choćby najzimniejszy, ma w życiu jedną godzinę szalu, w której jak roślina wybijają nasza niepotrzebnie odrośle.

Młodzieniec zatapiał się w nankach. Szatan uczuł że nie potrafi niczem innem go zgubić, chyba jedną nauką, postanowił więc dopomagać mu tak do niej, aby Twardowski prędko wyczerpawszy wszystko, więcej zażądał, aniżeli mu dać mogli ziemscy nauczyciele.

Skutkiem tej niewidzialnej pomocy szatańskiej, Twardowski jednym rzutem oka, jednym signięciem umysłu, zbadywał i odgaślał najzawilsze naukowe trudności; coraz nowych ksiąg, nowej nauki żądał, i począł wręczyć nauczycieli swych i mistrzów owego czasu przechodzić. Dziwiły te postępy młodzieńca wszystkich, krzywili się na nie jedni, wynosili go pod niebiosa drudzy, najmniej uczeni sławili go, za przykład półmędrkom zaufanym w sobie stawiając, uczeni z przekąsem o nim gadali, potrzęsając głową.

Nie było bowiem wręczyć galezi nauk. w którejby



mistrzom nie sprostali; wziąć mu się tylko było do czego chciał, a ta władza powszechnego pojęcia i zrozumienia wszystkiego, posługiwała mu tak wiernie, iż ucząc się, już księgi poprawiał o nauce traktujące, i w połowie drogi będąc, drugiej się już połowy domyślał, całą zaś przebiegłszy, przepowiadał jej dalsze postępy, jakimi ją miały przyszele ubogacić wieki. Tak biegły lata oddane naukom, Twardowski z kolei Teolog, Matematyk, Filozof, Fizyk, Medyk, Poeta — łączył w sobie znajomość nauk rzadko razem chodzących w tak wysokim stopniu, iż w każdej zdawał się być najdoskonalszym, póki o innej ust nie otworzył. A tak jeszcze był młody!

Lecz tej jego nauce towarzyszyło szczególniejsze uczucie. Nie tak jak inni, którzy liznąwszy nieco, już mniemają że stoją u kresu, i arcymistrzami się sądzą; Twardowski sprawą szatana, zawsze pożywając lękął, czując się pragnął więcej nauki, czuł że mu wiele jeszcze zostawało do zbadania, a nie mogąc już więcej nauczyć się i wyścisnąć wieki umysłem, gdy się oparł o ówczesne słupy Herkulesowe, zwiastujące mu koniec świata, czuł przynajmniej jeszcze niedoskonałość swoją, czuł jak wiele jest jeszcze rzeczy zakrytych przed ludźmi, które powoli odsłaniać się będą, aż do skończenia rodzaju ludzkiego; czuł że ludzie, niezmordowani pracownicy, nienastannie waląc i odbudowując gniach prawdy, długo jeszcze nad nim wysilać się będą.

A wieluż to jemu współczesnych, sądzili się u szczytu, i nie domyślali się postępu w wiekach przyszłych.

Ten proroczy duch w Twardowskim, całę był różny od ducha jego czasów i zadziwiający w młodości, który ledwie na pozór skosztowawszy nauki, już niewiedzieć dla czego wywijał nią z pogardą, z jaką dziecię napierając się żelaznej, drewnianą szablą wywija. Uważano że najmilszem jego zatrudnieniem, było szyderskie zbijanie przyjetych wówczas zasad, że z rozkoszą wysmiewał zarozumiałych, upokarzał dumnych trochę nauki. Jego wszystkie twierdzenia miały miłe komentarzy nienastannych, nad słowy Salomona: *Vanitas*

*vanitatum*. Kiedy mówił o nauce i dochodząc jej krańców, opierał się na granicy ówczesnych wiadomości, czynił to nie z radością ucznia, sięgającego pożądanego celu, lecz z westchnieniem starca, któremu nieprzełamana zaporą, w dalszą drogę puścić się broni.

Mając upodobanie w zbijaniu fałszów, które prawdami mniemano i upokarzaniu półmędrków, Twardowski szukał też najczęściej prawdy i światła, tam gdzie po nie nikt jeszcze nie chodził, na naukowych śmieciach; śmiał się z systematów i systematycznych nauki przekreśleń, wskazywał jakby od niechcenia inną drogę dla niej, inny tryb jej wykładowi. Tak wielkie różnienie się w opinii od wszystkich otaczających go mistrzów, tak wielkie zuchwalstwo ucznia i żaka w obliczu poważnych mędrków, i ksiąg poważniejszych jeszcze wiekiem i uświęceniem opinii — nie były zrozumiane od wszystkich, ani należycie ocenione. Na to rachował nieco szatan, żeby posławszy w duszy zrażonej jedno ziarno niecheci, wlawszy w nią jedną kroplę rozpacz, zatruć ją i zamącić całe życie.

Często do zbrodni nie trzeba innej pobudki nad zniechęcenie jakieś od wszystkiego, a miejsce namiętności czynnej, zastąpić może rozpacz.

Twardowski z ucznia po stopniach uczonych, wyszedł na mistrza, lecz nauki jego zamiast zaspakajać, drażniły tylko uczniów, tak jak igraszka jakaś, obiecując zawsze coś więcej, im więcej odkrywały. I tak był to mistrz niebezpieczny, co zamiast głodnych karmić, czynił ich tylko zajadlej jeszcze łaknącymi pokarmu. Szatan wszystko to widział, wszystkiem kierował i cieszył się nadzieją posiadzenia duszy młodego mędrca prędzej czy później. Dotąd jednak choć nauka i wiarę w duszy jego zachwiała, nie był jeszcze szatan pewnym jej pozyskania, i siadła tylko za siadłami stawał.

W duszy mistrza nie było już tej ufności, tej wiary, z jaką szedł do piekieł, ta wycieczka jego zdawała mu się jakby snem niepojętym, w którego rzeczywistość wierzył codzień mniej, coraz słabiej. Co chwila zu-

chwalsze wiły mu się myśli, i skołatana niemi głowę podnosząc z posłania, Twardowski dziwił się im zkład przychodziły, pojmując jednak, że się wyrodzić musiały i jakby przeczuwając trwożliwe ich przyjście. Wiązał je bowiem szatan jak wenecki łańcuszek niedostrzeżonymi ogniwoami, jedne z drugimi rodziły się kolejno, naturalnie, chociaż z ich słabego początku, nikt by się wzrostu i końca nie potrafił domyśleć.

Szerzył się tymczasem odgłos sławy Twardowskiego; najślawniejsi ówcześni teologowie, filozofowie, astrologowie, medycy, na przemiany biegli go badać i jak dziwowisko oglądać; nie raz wyzywali go na dysputy, które się zawsze zwycięstwem młodego mistrza kończyły, i późniejszym wrogom odejmowały śmiałość do walki.

A tak pozyskawszy sławę powszechną u ludzi, obudzwszy zazdrość, Twardowski stał się za wysokim dla tłumu, niebezpiecznym dla mędrków, i od wszystkich opuszczony, bez przyjaciół, sam jeden pozostał. Nauka zastępowała mu miejsce przyjaciół, krewnych, wszystkich, a tem silniej się jej chwycił i szpony w nią zapuszczał, im mniej miał się do czego przywiązać na świecie, im więcej świat się od niego usuwał.

Opustoszał ojcowski domek, opuszczony na ręce płatne; lecz Twardowski nie dbał o to, życie jego nie wiele potrzebowało, nauki są może najmniej kosztowną namietnością, najłatwiejszą do nasycenia ubogim, którzy się im ciałem i duszą zaprzędają.

Tak biegły Twardowskiemu owe lata młodości, bez uczuć, bez wspomnień rozkoszy, które po nich jak woń balsamiczna, po zwiedłym kwiecie na długo zostają. Sam jeden wśród wszystkich obcował tylko z światem umarłych, z księgami, które wkrótce wyczerpywać się zaczęły; znalazł w nich nieznośne powtarzania rzeczy wiadomych, natłok wyrazów bez myśli, i przymuszony był nasycać się własnymi, to jest palić się sam, żeby w sobie ogień życia umysłowego utrzymać.

Niepojęta dała mu się czuć cześć wkrótce dręcząc go nieustannie. Była ona dziełem szatana, który spro-

wadziwszy ją, czyhał teraz wiedząc, że mu ta chwila stanowcza, odda dusze mistrza. Jakoż dręczony żądzą niewypowiedzianą czegoś niepojętego, czego nigdzie na świecie znaleźć nie mógł Twardowski — obracał oczy na wszystkie strony, i jak umierający woła ratunku, tak on wołał dla duszy wycieńczonej pokarmu. Napróżno chwycił co spotkał, wszystko było próżne, wyschłe. Szatan czekał, a doczekawszy się pory, przybrał na się postać uczonego Doktora, i poszedł kusić Twardowskiego.

## ROZDZIAŁ VI.

### Jako Twardowski dysputuje z szatanem.

Była noc, a Twardowski siedział w zimnej izbie na poddaszu, przez której okna księżyc wpadał, siedział schylony nad stosem ksiąg, których nie czytał, po których tylko oko jego błądziło z niejaką rozpaczą. W koło niego rozsypane były zwykle medrea owych czasów przybory, mumja, krokodyl wypchany, poczwary w spirytusach, zwierciadła, osobliwości różne przyrody dalekich krajów, narzędzia i maszyny, malujące swoją rozmaitością, nieładem i opuszczeniem zatrudnienia mieszkańca tej izdebki, jego myśli i tę uawet czczość, która go dręczyła nieustannie. Widać było że wszystko był porzucił, wszystko zbadał do ostatka, i nie wiedział co dalej począć.

Chwila w której się to działo była jedną z przesileń naukowej rozpacz, jedną z tych, w których Twardowski najmocniej czuł żądzę pokarmu umysłowego, nie umiejąc jej nasycić, i palenie się mózgu w samym sobie bez podsytu. Tę to chwilę wybrał szatan aby go kusić, i zaiste wybrał ją dobrze.

Szatan miał tyle rozumu, że się nie w swojej urzędowej postaci, nie tak okropnie jak go pospolicie malują, objawił Twardowskiemu; wszedł do niego jako średniego wieku mąż poważny, w długiej ciemnej sukni, podobnej księży świeckich odzieniu, z łańcuchem na szyi, w wysokiej futrzanej czapce, z kijem wysokim w rękę, ze zwitkiem pergaminu pod pachą, krótka broda zakrecała mu się do góry, oczy czarne iskrzyły, nos miał orli z rozdartem nozdrzem, które tchuieniem gorącym zionęło, usta zaciśnięte jakby z nalogu szyderstwa. Czolo jego było pofałdowane, głowa nieco łysa,

ręce kościste lecz silne, uszy tylko nieco hyperbolicznej wielkości. Wszedł krokiem cichym i niepewnym, lecz jakkolwiek stąpał cicho po kamiennej posadzce pracowni, usłyszał szelest Twardowski, porwał się, obrócił, i już oczy przechodnia w siebie wlepione spotkał.

Wicie że tak wąż patrzy na ptaka, aby go oczarować i połknąć potem.

Nie omylił się Twardowski, gdy wnosząc zaraz ze stroju, poznał w nim jakiegoś uczonego, i skrzywił się sądząc, że jak pospolicie przychodził mu zarzucić jaką trudność, podchwycić go w czym, wypróbować lub o radę prosić.

W tem mniemaniu od razu chciał go z niczem odprawić, gdy szatan wiedząc że nie ma człowieka, któregoby ze strony miłości własnej pochlebstwem złagodzić nie można zρέcznie, zaczął długą oracją wynosząc jego sławę, poddmuchując ogień jego próżności, podniecając w nim i tak już bujającą dumę człowieka, któremu dotąd nikt nie sprostął.

Nad podziw dobry był skutek szatańskiego przemówienia, które się zamknęło utyskiwaniem nad smutną i posępną twarzą medrea-medrea, mówił szatan, któren godzien był nigdy smutku nie znać.

Twardowski na te słowa wsunął ręce w szerokie rękawy sukni, i siadając wygodniej w krześle, jał swoje żale rozwodzić, poznawszy do razu, że przychodzić go zrozumie. Bo jest w toku mowy, w głosie, spojrzeniu coś objawiającego rozum i pojęcie wyższe, a baczny człowiek rzadko się na tych znakach omyli, szukając komuby wylał swoją duszę.

— Pytasz mnie, szlachetny panie, czemuś smutny, ja się ciebie spytam, jak można być wesółym? Ciężba tylko, motłoch, gawiedź wesółą być umie, bo ciężba składa się ze zwierząt nieco doskonalszych od pospoliciego zwierzęcia, a ich dusza służy tylko za pierwszego niewolnika ciała. Lecz nam, cośmy wyżej zajrzeli, chce się więcej, i drzemy się jak owe Giganty pod niebiosami, walim góry na góry, Ossę na Peljon, żeby wlaźszy na nie, upaść z nich potem na ziemię, w błoto.

Pytasz mnie czegom smutny? Ja mimo tej sławy mojej, o której mi mówisz, nie czuję się godnym imienia medrea, wiele rzeczy nie pojmuje, mało mogę, wiele pragne. A w rzeczach nanki trudno się określić w życzeniach, jak cynicy, aby nie pragnąć tylko możliwych rzeczy, i zaspokoić się wodą i chlebem. Owszem, choć dreczy niespokojna chęć, miło jest i potrzeba żądać więcej niż świat ten dać może. Kto na jego mądrości poprzestał, bardzo jeszcze głupi.

Szatan uśmiechał się nieznacznie, bo bardzo był rad początkowi rozmowy, i już stał na drodze, którą pragnął powieść Twardowski.

— Pali was, odpowiedział, szlachetna żądza nanki, która dreczyła nie jednego starożytnego medrea, której Arystoteles, to wielkie światło dawnych wieków padł ofiarą, rzucając się w Euryp, z owemi słowy do morza: — Obejmij ty mnie, kiedy ja ciebie objąć nie mogę. Była to rozpacz spalonego żądzą wiadomości człowieka, lecz rozpacz nierozsądna. Ażaliż nie lepiej próbować wszystkiego wprzód, i szukać jeszcze światła i pokarmu aż do ostatku życia? Wszak życie tak krótkie!

— Światła! pokarmu! wykrzyknął mistrz. A gdzież ich szukać? w księgach? Ja czytałem co tylko czytać było można, doświadczałem co było można doświadczyć, myślałem nad wszystkim co myśl objąć może. I wszystkiego się przebrało, a wiele rzeczy zostało dla mnie zagadką. Więc jakże sobą gardzić muszę, jak sobą się brzydzić, gdy tego nawet co mnie otacza pojąć nie umiem!

— Lecz kto pojąć nie może, wszakże może jeszcze w pewien sposób doświadczyć świata, używając go, rzekł szatan.

— Rzecz zwierzęcia! odpowiedział Twardowski.

— Jak kiedy, jak komu! zwierzęcia albo medrea! Świat może nie jest czteku do pojecia, lecz do użycia dany. Gdy jedni usiłują go zrozumieć, drudzy tymczasem używają i w końcu lepiej wychodzą z nasyceniem, niż tamci z rozpaczą.

— Byłżebym ja na złej drodze? odpowiedział du-



mnie Twardowski, uderzając się dłonią w głowę. Kiedy czuję w sobie żądzę niepokahamowaną wiedzy, i szukam jak Archimedes punktu oporu, na którymby myśl moja spocząwszy świat podniosła; — byłoby to próżnem, złem, śmiesznem? byłoby to nie moją sprawą, na co się kuszę z wewnętrznego popędu?

Szatan odpowiedział — nie; — nie chcąc mistrza gniewać, a widząc że czas jeszcze na naukę użycia świata nie przyszedł, bo Twardowski mogąc nie chciał, a zażądać miał dopiero świata gdy go już mieć nie mógł, zażądać dopiero z całą rozpaczą niemocy, z całą gwałtownością więźnia wyrywającego się z krępujących go więzów.

— Nie — tego nie mówię, rzekł szatan, lecz w rzeczy nauki, czyliżescie już tak dalece wszystko przeszli?!

W tak obróconej odpowiedzi Twardowski ujrzał jakby wyzwanie i zaprzeczenie, uśmiechnął się i milczał. Nie zmieszany tą pogardą szatan, uśmiechając się także powtórzył wyzwanie.

— Spróbujmy się więc! rzekł mistrz.

— Spróbujmy! odpowiedział szatan.

— Noc widna, księżyc świeci, idźmy za miasto.

— Chodźmy za miasto!

Wstali i poszli obydwaj gotując się do dysputy.



## ROZDZIAŁ VII.

### Jako Twardowski rozmyślał, i o prawdziwym przyjacielu jego Maćku.

Nikt nie wie jak tam się odbyła owa dysputa Twardowskiego z szatanem, bo nikt jej nie podsłuchał, a domyślać się trudno. Trwała ona późno w noc, aż nad ranek szatan zwyciężył. Mistrz tak był zdziwiony nauką diabła, że gdy już nazad wracali, spytał swego współzawodnika:

— Zkądże ci to przyszło? gdzieżeś się tego wszystkiego wyczył?

— Tę mądrość dał mi diabeł, odpowiedział uczony nieznajomy, w zamian za duszę, tę władzę, której ci dałem dowody, od niego ją mam.

To powiedziawszy i nie dając się dłużej wypytwać, skinął ręką i zniknął w ciemnej uliczce, zostawiając Twardowskiego samemu sobie. Dobrze to wszystko było wyrachowane; mistrza upokorzenie i wiadomość rzucona mu zaraz w oczy, gdzie zbywającej a tak pożądanej mądrości dostać i kupić można, miały go podniecić i doprowadzić do zaprzędania się diabłu. Inaczej pewnie piekielny posłaniec nieby nie był wskórał u mędrca. Znikł tajemnie, aby rzucone nasienie miało czas wzrosnąć i wybujać w samotności.

Myśl ta, iż szatan może dać nadludzką mądrość, zastrzegła w mózgu Twardowskiego, chciwego nauki i sławy; męczył się z nią długo i dumał jak poczyć sobie, a codzień rano wstawał z pomiętego łóża, bardziej dręczony niespokojną żądzą połączenia się z diabłem, uczynienia z nim przymierza. Żał mu jednak było duszy nieśmiertelnej, a choć pobożność jego dawno strawił ogień pałacy duszę, kiedy jednak jak przez

mgłę przypominał, iż tak drogo niegdyś wyswobodzenie swoje okupił, wędrując wśród tysiąca niebezpieczeństw do piekieł po cyrograf, wahał się z oddaniem diabłu znowu, i przyznaniem mu niejako zwycięstwa i wyższości nad sobą.

Od czasu jednak owej nocnej dysputy z szatanem, wszyscy w nim wielką odmianę postrzegali. Nie cenił już tak wysoko jak przedtem swojej mądrości, brzydził się sam sobą, a z powierzchowności jego bardziej niż kiedykolwiek widać było walke wewnętrzną i smutek gryzący go po cichu. On, co wprzód z pogardą odrzucał precz od siebie magiczne księgi, teraz począł ich szukać, i powoli oswajając się z szatanem, oglądał się ażali nie spotka człowieka, coby mu drogę do niego pokazał, chociaż niepewien był jeszcze, czy warto ofiarą duszy i wieczności okupić mądrość, która możeby go nie nasyciła znowu, i tylko jak niezdrowy napój gorętszem nabawiła pragnieniem.

W tych chwilach walki z samym sobą przychodziła mu nieraz z żalem pamięć młodości spokojnej, kiedy jeszcze mniej uczony i mniej sławny miał wiarę i nadzieję w duszy.

Z uczuciem wspominał sobie ławy szkolne, na których przepędził tyle słodkich godzin, ucząc się tajemnie wiary umysłem i sercem, i marmurowe posadzki kościoła P. Marji, na których kładąc z takim uniesieniem śpiewał pieśni nabożne. Przypominał sobie także te chwile zapалу religijnego, w których sam pieśni układał, ulubione później od ludu, pieśni które prędko w całym już Krakowie brzmiały, ale nie brzmiały w sercu jego, i nie obudzały w niem tego uczucia, które je zrodziło. Dziś poglądał okiem medrca zimnego na to dzieło młodości, okiem medrca, którego pożegnała wiara, którego zapal wygasnął, nadzieje powiedły. A jednak porównyując dzisiejszego siebie z dawnym sobą, żałował przeszłego szczęścia. Za późno już i niepodobna wracać do niego było. — tamto szczęście było jak mleko matczynej piersi, niesmaczne i niedostateczne dla wieku, do którego przyszedł, chociaż owych

czasów żałował. W życiu i w podróży rzadko kto powraca inaczej jak myślą nazad, aby znów innemi tylko kroki też samą przebiec drogę. I żał domu i żał młodości, a jednak spieszym naprzód!

W tym czasie ulubionym celem przechadzek Twardowskiego stało się dzikie wśród skał ustronie za Wisłą, w Podgórzu na Krzemionkach. Tam on dni całe, a czasem i noce przepędzał sam jeden, tam za nim wlekli się często chciwi nauki uczniowie, których zdziślały nauczyciel pod gołym niebem chłostał biczem swego niedowiarstwa, i zrażał bardziej od nanki niż do niej zachęcał, pokazując ją jak przepaść czarną mającą pochłonać nieostrożnych, co się w nią puszczają. To miejsce dzikie i smutne zgadzało się z jego smutną duszą i dzikimi myślami, w około otoczony zaroślami i skałami, obrał sobie miejsce w jednym wydrążeniu i zagłębieniu wzgórza, które pospólstwo widząc go tam najczęściej przesiadującego, nazwało potem szkołą lub katedrą Twardowskiego.

Wkrótce zbrzydziwszy sobie nauczycielstwo, rzucił je mistrz, gdyż miał tyle smnienia, że nauki зараżonej niedowiarstwem, które go dreczyło, udzielać drugim nie chciał. Nie wielu uczniów z ciekawości lub osobistego przywiązania chodziło tylko za nim, lecz wkrótce i ci, nic z niego na korzyść swą wybadać nie mogąc, opuścili go.

Jeden był tylko co przy nim pozostał, jeden chłopiec który Twardowskiemu służył, którego on gdzieś z ulicy z rąk umarłej pod kościołem żebraczki wziął przez litość na wychowanie. Ten, że nie miał na świecie nikogo prócz swego mistrza, został z nim, wierny jemu, i albo za nim z dala w przechadzkach jego samotnych się błąkał, albo jak pies drzwi jego pracowni opuszczonej pilnował.

Zwał się on Maciek Sierotka; mały, chudy, blade, tę odrobinę życia, którą był winien mistrzowi, jego usługom oddawał, jedyną jego myślą było jemu służyć, nim żył tylko, bez niego nie pojmował życia. Nie mając się do kogo przywiązać, o kim i o czem myśleć,

myślał tylko o mistrzu i jego tylko kochał. Powoli to uczucie stało się w Maćku takim nalogiem, takim zaparciem się siebie, jakim się staje w zwierzęciu, w wiernym psie lub kozie starej wdowy. Maciek wcielił się w mistrza i przyrósł do niego, na jawie myślał o nim, we śnie o nim marzył, a jeśli co robił, to dla niego. Jego życie było tylko dodatkiem do cudzego żywota, a biedny chłopiec nie umiał sobie i dla siebie nie począć, wszystko tylko mistrzowi, dla mistrza, w którym żył. Dziwne to przywiązanie było pośmiwiskiem u ludu i gadką powszechną, a że wcześniej jeszcze nim Twardowski czarnoksięstwu się oddał, już go o nie posądzano, ludzie gadali, że go czarami do siebie przykuł.

Maciek był kilkonastoletni, nauki nie znał jeszcze żadnej, nie domyślał się jej nawet. Dla niego całą naukę i mądrość świata składały pieśni nabożne, najmędrsi wydawali mu się księża, co tak pięknie po kościołach chwałę Bożą mcieli. Mistrz zaś zdawał mu się czemś tak wyższem nad wszystkich, że o jego mądrości myśląc, Maćkowi w głowie się aż kręciło. Nigdy też Maciek nie wdawał się w dochodzenie czynności jego i pojęcie myśli, gdyż czuł że to było nad siły; starał się tylko jak pies służyć mu wiernie, cicho, posłusznie, spokojnie, nigdy w niczem nie być zawadą. Kiedy był chory, chorobę starannie ukrywał w sobie, kiedy był głodny, wołał ukraść kawałek chleba, niż mistrza o niego poprosić, a kiedy podarte suknie lachmanami z niego spadały, latał póki mógł, potem oblekał na się pierwszy kubrak odarty, który gdzie w kącie nadybał, i tak żył znowu spokojny.

Twardowski zdawał się na niego i jego przywiązanie i usługi prawie nie zważać, a jeśli zwrócił na niego uwagę, to chyba wówczas gdy niezręczny sługa mimowolnie mu się czem naprzykrzył. Wówczas wypędzał go za drzwi, a chłopiec kładł się pod progiem, żeby być na pierwsze zawołanie mistrza, opuścić go bowiem nigdy mu nawet na myśl nie przyszło.

W czasie coraz częstszych wycieczek Twardowskiego

na Krzemionki, niespokojny uczeń nie wiedział z początku co począć z sobą. Chciał on z razu towarzyszyć mistrzowi, lecz bał się izby opuścić, której nikt nie strzegł, a zamknąć nie było czem. Wahał się więc, wybiegał i powracał, aż nareście rozważywszy wszystko pozostał przy drzwiach, jak wierny pies strzegąc skarbów swego pana. Kiedy mu bardzo głód dokuczał, schodził na rynek, kradł bulkę i co najprędzej wracał znowu leżąc u progu, odprawując przychodzących jednostajnymi słowy:

— Nie ma mistrza, za Wisłą.

Lecz coraz a coraz liczba ciekawych przychodniów się zmniejszała, zdawało się, że wszyscy zapomnieli o Twardowskim. On zaś coraz częściej i dłużej przesiadywał na Krzemionkach, dokąd przeciw zwyczajowi swemu ani księgi nawet z sobą nie brał. Chodził tylko sam z myślami swemi. To trwało kilka miesięcy, a Maciek zawsze wierny leżał u progu komory na chłodzie, mrąc głodem, odarty, i gdyby się kto nad nim litował, on uśmiechając się głupowato mówił:

— Cóż mi to szkodzi? mnie tu dobrze!

## ROZDZIAŁ VIII.

**Jako Twardowski postanowił zaprzedać się djabłu, i co się działo w jego duszy i jaką z djabłem ugodę uczynił.**

Twardowski siedział w swojej szkole na Krzemionkach, zadumany, myślący. Nadchodziła noc już to trzecia czy czwarta jak wyszedł z Krakowa i samotny po Podgórzu błądził. Słońce było zaszło, gwiazdy słabo jeszcze przez jasny błękit nieba świeciły, i księżyc czerwony z za drzew się pokazywał. Była jesień, pogodny wieczór, ale wichur opętany porywał kupy liścia, szamotał się z niemi i krecił w kółko po drogach, po dolinach. Tam i sam widać było tumany piasku kręcące się także jak pijacy powracający z gospody, i słychać było szum i szelest, a jednak niebo było pogodne, błyszczące, powietrze czyste i chłodne. W duszy mistrza było właśnie jak na dworze, pogodniej i jaśniej niż wprzód, ale wiatry miotły w niej myślami i kręciły. Świeciły tam słabo gwiazdy nadziei i księżyc żądry czerwony wznosić się poczynił, na niebo osieroczone ze słońca wiary. Wybaczcie mi to porównanie przesadzone, taki był wówczas język poezji.

Twardowski był już postanowił nieodmiennie wezwąć diabła, widzieć tej jeszcze nocy, i po próbie jego sił, oddać mu duszę w zamian za naukę i mądrość wielką i sławę. Dziwna myśl ostatecznie go do tego kroku popchnęła. Przypomniat że już raz był w rękę szatana, że tylko przypadkiem i dziwnem szczęściem cyrograf na swoją duszę wydarł piekłu. Jak gracz przegrane w kości pieniądze odzyskawszy, po chwili je znowu rzuca, mówiąc że już były raz przegrane, tak i on duszę swoją świecił, powiedziałwszy sobie, że gdyby nie traf, i tak byłyby w rękach szatańskich. Takim

argumentem pokonawszy odzywający się w sobie żal po nieśmiertelnej duszy, czekał już tylko nocy Twardowski. Wszystko było przygotowane i wola i czarnoksięskie narzędzia; czekał tylko północy, aby się udać na rozstajne drogi.

Lecz chwila pożądana, stanowcza, nie przychodziła; włókł się czas powoli, jakby mu namyślenia i rozwagi zostawiał godzinę, a Twardowski odpychał umyślnie przeciwne myśli. Mimowolnie jednak cisnęły się one tłumnie, przychodził żal czystej młodości, zaglądał przestrach, a choć ich mistrz odganiał, cisnęły się znowu i znowu i siadały na piersiach, na głowie, dręczyć i ciężać. Próżno z okiem wlepionem w zachmurzające się niebo, Twardowski śledził, upatrywał zbliżenia się północy — północ, jakby umyślnie, była jeszcze daleko. Tyle jeszcze czasu mając do stanowczej godziny, mistrz począł, już się nie odganiając myślom, dumać głęboko, postawił im czoło, otworzył duszę z odwagą rospaczy i rzekł w sobie:

— Nie mnie od tego kroku nie odwiedzie — postanowiłem, wykonam. Jeśli w ręku szatana jest ostatek nauki, której próżno okrucy po ziemi zbieram, jeśli on ma wiadomość wszystkiego i władze nadludzką, jeśli mnie niemi obdarzyć może — ja mu oddam duszę! oddam mu siebie.

Naówczas w duszy mistrza powstało wspomnienie młodości, w białej niewinności szacie, z zielonym wieńcem na głowie, z wiarą w sercu, nadzieją na czole, miłością w piersiach, i rzekło mu:

— Czyliż ci niedość wiary, nadziei i miłości?

A Twardowski odpowiedział:

— O! nie dość mi wiary, bo wiara jest ślepa; nie dość mi nadziei. bo ona zwodzi; nie dość mi miłości, bo ona do niczego nie służy, ona nie nie zasakaja. We mnie upada nadzieja i miłość stygnie; muszę dać życiu zajęcie nowe, nową wiarę, nadzieję i miłość rzeczy gminowi niewidzialnych, niedostępnych, niepojętych.

I powstała w duszy jego rządzi sławy, strojna w po-



ważną, czarną suknię, z łańcuchem na piersi, z laurem na skroni, z marszczkami na czole, i rzekła:

— Wszystkie sposoby wzniesienia są dobre, byle się człowiek podniósł. Między robakiem, co się czołga, a człkiem, który nie wyższego uie pożąda, nad to czem jest i co posiada; nie ma różnicy!

I znowu podniosła się z głębi duszy jego pobożność, z krzyżem w dłoni, oczyma w niebie, łzami w oczach, i płacząc odezwała się do niego:

— Na cóż mnie opuszczasz mistrzu, a zaprzędajesz się szatanowi, dla marcej żądzy sławy? Azaliżem ci nie służyła wiernie? azaliż, w pocie twojego czoła gdyś pracował, jam ci pracy i znoju nie słodziła? azaliżem ci ukazując sprawiedliwość Bożą, nie wyjawiała całej tajemnicy świata i życia? I czegoż ci więcej trzeba było nad pociechę na ziemi i nadzieję przyszłego żywota, które ci szczerą ręką sypałam na głowę? I na cóż opuszczasz mnie, a rzucasz się w rozbrukane morze twej nienasyconej namiętności? Azaliżes zapomniał, że ubogich w duchu jest królestwo Boże, a królestwo Boże jest wszystką mądrością? Azaliżes zapomniał, że tam w niebie wszystkie się tajemnice odkrywają, a mądrość ludzka wyda się pogardy godną i nikczemną? I za tę to mądrość oddasz duszę nieśmiertelną?

Ale głos pobożności obumarły i słaby, zagłuszyła żądza sławy, z okiem zapalonem i rozstawionemi jakby do pochwycenia świata ramionami wołając:

— Pragne, pragnę! bodajbym octu i żółci napiła się, dawajcie mi napoju. Nie odwróć ust od kielicha goryczy, bo pragnę, pragnę napoju!!

Naówczas biała i czysta i cicha i skromna cnota pozostała jeszcze i mówiła płacząc:

— Odpychasz mnie od siebie mistrzu! Cóżem ci zrobiła? Czyliż przekonanie żem z tobą była, nie słodziło ci każdego kroku po cierniach, nie ocierało ci potu z czoła, lzy z oczu? Czyliżem ci jak wierna żona nie umiała życia spokojem sumienia, na cóż mnie dla nałożnicy odpychasz?



I płakała i tuliła twarz w ręce.

A na to jej znowu odpowiedziała żądza sławy, żądza mądrości:

— Pragnę, pragnę, napoju! napoju! octu czy żółci czy krwi, byle napoju, byle coraz nowego, byle napoju bez miary!

I cnota ucichła i skryła się.

A gdy te mary przeszły, ukazały się dwa cienie białe, lecące na chmurkach jesiennych i zstępujące ku ziemi. Poznał w nich mistrz ojca i matkę. Oboje mieli gwiazdy nad głową, i palmy w ręku jak święci meczennicy, i słodko mówili dwoma głosami, a jednemi słowy do syna:

— O synu nasz! na cóż ci więcej nauki nad tę, którą masz? Myśmy jej nie mieli, a przecież dość nam jej było, na dwa życia i na całą wieczność. Bo jeśli chcesz szczęścia, synu nasz, szczęście ziemi jest w pokoju, miłości i rezygnacji, nie w nauce; bo jeśli chcesz sławy, sława jest w bohaterskiem poświęceniu się, nie w mądrości; bo jeśli chcesz rozkoszy, rozkosz najwyższa jest w połączeniu dwóch dusz i serc. A nauka jest przepaścią, której człowiek nie pożre, która go pochłonie i zniszczy jak drobnego reba. Wiadomość złego i dobrego wszystkiego zgubiła pierwszych rodziców, i zgubi każdego, kto dumnie z Będem chcąc się równać, zechce świat pojąć małą swoją duszą, w której ledwie kątek jego odbić się może. Na cóż ci synu nauka? Bedziesz ją przeklinał potem, gdy ci życie zepsuje i zaczerni! O synu nasz, na cóż odmieniasz drogę i idziesz do piekieł, z których już raz za łaską i pomocą Boga wyrwany zostałeś? O synu nasz zawróć się!

I płakały cienie, a ich łzy spadały na spaloną pragnieniem duszę mistrza, ale jej nie nasyciły, bo żądza sławy i mądrości wołała ciągle:

Pragnę, pragnę! Nie odwrócę ust od octu i żółci, bylebym się napiła! Pragnę, pragnę!

W tej chwili Twardowski zwrócił oczy na gwiazdy i ujrzał że się już miało ku północy; zaczęł wstać

ze skały, którą zwano katedrą jego i poszedł na rozstajne drogi, gdzie już szatan na niego czatował.

Nad drogą stał stary krzyż, pochylony, nadgniły, mchem obrosły, ze skrzypiącą chorągiewką, przewiązany kilkakroć białemi fartuszkami pobożnych wieśniaków. U jego stóp wałowały się połamane koła, kilka suchych gałęzi i kamień leżał w ziemię już zasunięty. W chwili kiedy się ku temu miejscu mistrz zbliżał, pogodne niebo nocy jesiennej zachmurzyło się, zakryło szarą oponą i wiatr dąć zaczął groźniej z północy, porywając i niosąc z sobą odłamki głazów, piasek, gałęzie i poschłe liście. Mistrz obejrzał się. Od krzyża szło dróg cztery, w cztery świata strony. Ku południowi droga rozkoszy, szeroka i wygodna; na północ droga pracy, znoju i cierpienia, drapała się po górze; na wschód była droga nadziei, na zachód rozpacz i żalu. Wszystkie cztery były ubite, i po wszystkich niósł wiatr kleby piasku okręcające się szybko jak tańcznice na kermaszu, strzelające w górę lub opadające o ziemię i rozsypujące się po drodze. Nad drogą rozkoszy leciało stado gołębi, nad drogą pracy unosił się skutny w pęta białoźór, nad drogą nadziei leciały gęsi dzikie, a na zachodzie krzyczały puhacze i sowy i kruki.

Mistrz zdjął suknię i wyrócił ją na nice, potem z kieszeni dobył krede święconą i świece z tłustości trupa, wody kubek, kropidło, książkę jakąś, kości ludzkie i czarnoksiezką utkwil w ziemię laskę, czarno pomalowaną w białe znaki. Zakreślił na ziemi krąg kredą, którego środkiem był krzyż ów stary, zapalił świeczkę, kości rozrzucił, wodą pokropił i jał wołać zaklęcia językiem złożonym z odłamków wszystkich języków umarłych i żywych, i które wiatr niósł na cztery rogi świata.

— Duchu czarny! wołał — oto człowiek chce ci duszę swoją zaprzedać, przybywaj i przynieś z sobą całą potęgę jaką masz, albowiem nie zaprzeda ci się za złoto, ani za rozkosz, ani za nic prócz mądrości i sławy. Pokaż mu drzewo wiadomości — a weźmiesz jego duszę.

Przybywaj czarny duchu, zaklinam cię w imię woda twego, który naprzód spadł z nieba i głową w dno piekieł uderzył! zaklinam cię przez twoje poniżenie, przez twoje meki, przez twoją nędzę i upokorzenie z woli Bożej, abyś przybył i gotową ku tobie wyciągniętą duszę od Boga odebrał! Wyzywam cię przez imiona wszystkich szatanów, strąconych w dniu zwycięstwa! przez głębokość piekieł, przez ogień piekielny, przez wszystkie dusze, które wyszły z otchłani odkupione, przez wszystko coś cierpiał i cierpisz, przez wieczność cierpienia, która jest przed tobą! — Wyzywam cię po raz, wyzywam cię po dwa, wyzywam cię po trzy i po siedm i siedm kroć siedm wyzywam cię, ukaż się!

Kiedy tych ostatnich słów domawiał, czerwonym światłem oświecona postać stanęła przed kołem. Poznał w niej Twardowski owego mędrca, z którym dysputę i walkę miał niedawno i usłyszał głos jego chrapliwy i szyderski.

— Chcąc się djabłu oddać, na cóż było święconej kredy i wody używać i tak się od niego odgradzać?

— Bo nie chcę, żeby mnie darmo jak dziecko pochwylił, odpowiedział mistrz, i wiem z kim mam do czynienia. Ty jesteś posłaniec piekielny?

— Ja, mistrzu. Mów, czego chcesz odemnie?

— Czego chcę? Żebyś mi pokazał drzewo wiadomości, żebyś mnie uczynił na ziemi mędrszym od mędców i od wszystkich silnych nauką silniejszym; żebym znał świat, jak ten co go stworzył; wszystkie jego tajemnice, przeszłość i przeznaczenie, i siły rzeczy i siły istot, żebym był najmądrzejszym z mędców, żebym był sławniejszym od najslawniejszych, wyższym od najwyższych.

— Wiele pragniesz mistrzu, odparł szatan. A cóż dajesz za to?

— Moją nieśmiertelną duszę!

— Duszę! odpowiedział śmiejąc się szatan, alboż wiesz że ona tyle warta? alboż wiesz czy i tak nie jest już ona w mocy szatana i na drodze, na której

już raz była za młodu? /

— Wiem. rzekł mistrz, że pokuta wszystkie moje dotychczas popełnione grzechy zmazać może; wiem, że nie jestem jeszcze na drodze do piekła bez powrotu; wiem że dusza mędrca warta jest tego, co za nią żądam, bo wiedzie za sobą dusz wiele, uczniów i wielbicieli nierozumnego tłumu, i głupich uasładowców, wiedzie jednych chwytając za nozdrza kagańcem przekonania, drugich przykładem, innych ciekawością, innych odurzeniem.

Szatan odebrawszy śmiałą odpowiedź rozśmiał się i odrzekł:

— Pisz-że cyrograf na swoją duszę.

— Powoli, przerwał mistrz. Pokaż mi wprzód co mi dać możesz za tę duszę, którą ci sprzedaję, nie oddaję.

— Jużem ci dowiódł przy pierwszym naszym spotkaniu, że mam mądrość i wiedzę wszystkiego.

— Nie dość mi na tem coś pokazać. Pokaż mi jeszcze że mi dać możesz, że masz władzę użycia twej wiedzy na ziemi.

— A to jak?

— Zadaję ci trzy próby, szatanie.

— Oto naprzód przeniesiesz wszystkie srebro jakie gdzie jest w Polsce, w jedno miejsce, do Olkusza, do zarzucanych kopalni, które karą Boga za świętokradzki uczynek tamiecznego magistratu, przestały ludziom dawać zasilek. Niech tam leży wszystko srebro dla mnie, żebym ja niem tylko rozporządzał.

— A toż na co mistrzu? odezwał się djabeł; chcesz że zubożyć swój kraj, zsygnując wszystko srebro, zkąd go już nigdy dobywać nie będą, processem i kłatwą wyniszczeni mieszczenie, cóż ci z tego przyjdzie?

— Tak chce, tak być ma, odpowiedział Mistrz.

— I cóż więcej, zapytał śmiejąc się szatan; widzę że z tobą ciężko będzie, i więcej się koło tego natrudzić potrzeba, niżeli tego twoja nadpróchniała dusza warta.

Twardowski dumnie się uśmiechał.

— Powtóre, rzekł, przez tę noc wykopiesz mi staw pod Knyszynem i przerzucisz z miejsca na miejsce kamień ogromny leżący pod Czerwieńskiem; potrzebie nareszcie, postawisz mi skałę sokolą pod Krakowem, tak aby grubszym końcem w górę, cieńszym na dół stała. Wszystko to masz zrobić w moich oczach, bez pomocy ludzi, i to dzisiejszej jeszcze nocy. Naówczas przekonasz mnie o swej władzy i wiedzy, a ja umówię się z tobą o duszę moją.

— To wszystko jest tylko próbą! zakrzyknął szatan. Mądryś mistrzu! Ale gdyby ci się po tej próbie nie podobało zrobić ze mną umowy, cóżby naówczas było? Za cóż ja mam darmo się trudzić i świat przewracać? He? Nic nie odpowiedział mistrz na to.

— Wola twoja! mruknął po chwili — dwoma tylko słowami możesz mi dać odpowiedź.

— Tak lub nie.

Djabeł się zamyślił i kopytem skrobał w głowę, wykrzywiając poczwarnie, zdając się coś rachować, mrużąc pod nosem. — Ciężka próba! ciężka! Pisz tymczasem cyrograf — potem zobaczymy! Zrobię zresztą co zechcesz.

— Nie wprzód, odpowiedział mistrz, aż mi pokażesz co możesz.

— Targujesz się upornie.

— Przedaję ostatni łachman i najdroższy, rzekł mistrz, żeby nasycić pragnienie moje. Muszę się targować, bo to ostatni targ. Nie chcę ci oddać darmo i bez korzyści mojej nieśmiertelności. — Myśl djable i czyń jak chcesz.

— Wystąpże z koła, rzekł szatan prostując się. — Idź za mną, zrobię co chcesz.

Na te słowa Twardowski pokropił się wodą święconą, wziął w ręce książkę, przeżegnał się pobożnie i wyszedł powoli za koło. Szatan patrząc na to zębami zgrzytał, gdyż zapewne myślał podejść mistrza pochwycić, a tak uzbrojonego dotknąć się nie mógł. Nadeszła trąba piasku kręcąca się na rozdrożu, wsiadł w nią Twardowski z szatanem; polecieli pędem bly-

skawicy, górą dołem, szybując po nad ziemią, aż do Olkusza.

U zapuszczonego otworu kopalni, stanął mistrz i czekał, szatan zniknął. Po chwili ukazała się czereda wielka mar, niosących na plecach szare jakieś bryły. Zbliżyli się oni, rzucili ciężar po kolei w otwór i szli znowu i znowu wracali bardzo długo. Aż szatan, ich wódz, który im we wszystkich przewodniczył we drówkach, ukazał się wreszcie sam jeden, niosąc w garści maleńki kruszczo odlamek. Rzucił go w jamę i rzekł:

— To ostatni.

— Jakże mi tego dowiedziesz, że tak jest? spytał mistrz zlapany.

— Jakże ty mi dowiedziesz, że tak nie jest, odpowiedział szatan.

Twardowski musiał poprzestać na tem, chociaż w istocie niepodobna mu było przekonać się, czyli w istocie srebro djabli znosili, i czy wszystkie znieśli. Tymczasem szatan schylił się nad kopalnię i plunął w nią jakby od niechcenia — odtąd zalała ją woda zupełna.

Siedli znów mistrz ze swoim przewodnikiem w wie-trzny młynek i lecieli do Kuyszyna.

Tu Twardowski ukazał djabłu uroczysko zwane Czechowszczyzna, które mu kazał w staw zamienić. Szatan wybiegł na środek, zaczął rwać ziemię kopytami, pazurami, zębami, wyrzucał ją na boki, miotał ogromnemi bryły, aż wyorał duo stawu i szeroko je rozwiódł, potem stanąwszy u brzegu zdyszany, plunął znowu i zalało się wodą, która aż o przeciwny brzeg z szumem się odbiła.

— To wtóre, rzekł, czas krótki, spieszymy do roboty nim kur zapieje.

I znowu siedli i znowu lecieli pod Czerwieńsk. Mistrz pokazał djabłu kamień ogromny w ziemię zapadły, zapleśniały, mchem porośły, i kazał go o staję przez las i wodę przerzucić za łąki na miejskie pole.

Djabł krecił głową, brał się do kamienia to z tej to z drugiej strony, stękał, wreszcie ujawszy go pazur-



rami podważył i na pole stoczył. Potem podszedł doń tyłem, ręce za siebie przełożył, zarzucił go naprzód na ramiona jak wór maki, ujął silnie, nad głowę podniósł, zamachnął się i czarna bryła świszcząc i warcząc po nad wierzchołki lasu, których dotknęła w przełocie, mignęła się w powietrzu i z hukiem upadła na pole.

— Teraz wróćmy do ostatniej próby pod Kraków, rzekł szatan, lecz mojem zdaniem, dość by ci być powinno tego com dotąd dokazał.

Mistrz nie na to nie odpowiedział, znowu lecieli pod skalę sokołą zwaną lub pieskową, która naówczas stała jeszcze ostrzem w górę. Tu gdy stanęli, szatan obszedł ją do koła, obejrzał podstawę, wstrząsnął głową, cienki wierzchołek mierzył oczyma i myślał jak sobie począc.

Twardowski ciekawie jak się szatan do tego weźmie, poglądał. Ta mała postać, której przy skale ogromnej prawie widać nie było, kręciła się i chodziła czmychając, parszając, dotykając pazurami skały, patrząc z podelba na niernuchomego mistrza. Nareszcie szatan podniósł się na palce a raczej na kopyt swych końce, i nagle rosnać zaczął tak, iż głową dobrze skalę przerosnął, a mając już ją pod ręką, wziął jak patkę, za koniec, wzniósł do góry, przechylił, zniżył się, i cieńszym końcem postawił na podstawie. Nie zaraz jednak ustawiła się, kiwnęła się jeszcze kilka razy i chrupala, aż szatan ją mocno przycisnął i dokazawszy ostatniej próby, zmalał znów do dawnego swego wzrostu.

— A cóż mistrzu, rzekł, jak ci się zdaje?

— Chodźmy pisać cyrograf.

— Służę wam ochotnie — chociaż okropną zadaliście mi pracę i ciężkom się zziąjał nimem jej dokonał.

To mówiąc oba udali się znowu do szkoły Twardowskiego na Krzemionki.

## ROZDZIAŁ IX.

### Jako pisali cyrograf.

Tu gdy stanęli zapalił na nowo mistrz świeczkę i wyjął kawał czystego pargaminu z za nadry.

— Cóż to myślisz mistrzu. rzekł widząc to szatan, że cyrograf pisze się jak wasze *acta et munimenta* na prostej ośle lub cielecej skórze, że sprzedaż duszy piekłu może się pomieścić na tej brudnej karcie, na której ku wiekniestej pamięci, *omnibus et universis* daje się wiedzieć *praesentibus et futuris*, o nadaniach dla mnichów, lub ekscepcjach serc bydlących dla ptaśtwa fundatorów, to jest, o ich przeżywającej chciwość dumie i żądzy pochwalenia się? O! nie, nie! ja niosę z sobą wyprawną we Włoszach skórę z grzbietu ludzkiego, z grzbietu wisielca, jest to najtwardszy jaki być może kawał pargaminu, bo i za życia wybity kijmi, i po śmierci dobrze wyschły na szubienicy.

Pojmujesz też mistrzu, mówił dalej bez zastanowienia, że proste *atramentum* do pisania służyć nie może, ani miniaturystów i rubrykantów wymyślone farby. Piekło przyjmuje tylko za formalne cyrografy krwią pisane. Krew występuje w nich symbolicznie, jako zadatek z ciała, gdy myśl zawarta jest jakoby zadatkiem duszy człowieka. Są to dwa końce, któremi po śmierci ciągniemy *ad infernos* duszę i ciało. Pozwolisz sobie zatem nieco krwi z serdecznego palca wycisnąć, dosyć będzie kropelki, a ja już rozrobię. Lecz naprzód pono wypada mówić o redakcji aktu; spuścisz się li na mnie, jako na najlepszego notariusza.

— Nie, bedziem każdy punkt roztrząsać.

— Cóż robić z upartym? A więc do dzieła. Sprzedajesz swoją duszę, co chcesz za nią? Mów wszystko



a wszystko i wyraźnie. Traktujemy rzeczy okrągło, nie tak jak żydzi beczkę śledzi targują.

— Chciałbyś we mnie wmówić punkt honoru, rzekł mistrz aby mnie oszukać łatwiej! Nic z tego! Powoli! Naprzód, waruję sobie, że mi dasz wiedzę i mądrość szatańską o wszystkim i do wszystkiego, a to *intuitive* natchniona, bez mozół, rosnącą w miarę moich potrzeb.

— Zgoda na to. Lecz wyznać się z tak wielkiej rzeczy, odpowiedział szatan, nie można, nie opisawszy się jak jej użyjesz. Piekielna mądrość nie może być odwróconą od usług piekła. A zatem przy warunku warunek wzajemny, iż jej nie użyjesz nigdy na dobro, zawsze na szkodę ludzką. Innego użytku mieć nie można z tej mądrości.

— Więc ją w działaniu i skutkach ograniczasz a tem samem....

— Daje co mam, rzekł szatan.

— A ja z tym darem, odpowiedział mistrz, będę miał związane ręce! To być nie może, krzyknął, ja chcę mieć wolną wolę.

— Tego ci nawet szatan nie da, odpowiedział kupiec na duszę. Jest to słowo bez rzeczy, czysta abstrakcja, pojęcie do tego fałszywe, choć na oko nie bez zasady. Nie ma woli wolnej nikt na ziemi, i ty jej tak jak roznmiesz mieć nie możesz.

— Więc wszystko za nic.

— Ach! wolno mistrzu, wolno! powoli! Lecz gdybym ci powiedział, że ty możesz robić co chcesz, a piekło tylko czuwać będzie, aby żadna twoja sprawa nie poszła ludziom na dobre?

— Jest to niewola już, gdy ja wiem o tem.

— Może ci się zdawać, że czynisz dobrze.

— Będę już przeczuwał, że z mojej ręki dobro się na złe zamieni.

— Nie bedzisz tego czuł w chwili nczynku pochodzącego dajmy z serca. Wolno ci nie mieć złej intencji.

— Ale robisz mnie już winnym samą wiadomością, którą mi dajesz teraz?

— A! cóż chcesz mistrzu! coś przecie trzeba poświęcić.

Twardowski pomyślał chwilę i rzekł:

— Ktoś tu z nas dwóch się oszuka.

— Przystajesz?

— Zgoda!

I oba się uśmiechali. Stał się wtedy punkt pierwszy.

— Dasz mi powtórę, rzekł mistrz, sławę! Bo sława jest *potęgą* na świecie. Sławny człowiek w sławie swej ma siłę nową do działania, sława jest patentem, zapewnieniem, że czynności zostaną przyjęte. Sława wiąże tłum do mnie, i czyni mnie jego panem. Pożądana jako marne nasycenie próżnej dumy. Sława jest to także wielkie imię cześciej mary; ale pożądana jako siła, jako narzędzie do działania, jako berło panowania nad umysłami, — sława — naówczas — to rzecz wielka, ważna!

— Dam ci panie wszystkie sławy, jakich chcesz, i na jaki chcesz osobisty użytek, odpowiedział szatan, bodajby na taki, na jaki służy dziecięciu pieśń mamki u kołyski.

— Dasz mi potrzecie, władzę szatana, czynić nią rzeczy cudownych, przeciw wyraźnemu trybowi przyrodzenia.

— Da ci to na pozór nie ja, ale twoja mądrość piekielna. Dodam tylko, iż w rzeczach przewracających tryb przyrodzony i nieodmienny, władza nasza nie jest właściwie niczem innym, tylko symulacją władzy. My nie *czynim* cudów, ale umiemy *udawać* cuda i dziwy.

— Mniejsza o to, jakiej są natury cuda wasze. Zgoda?

— Zgoda — rzekł szatan, widzisz że ja wspaniałe rzeczy traktuję. A teraz moje propozycje. Oddasz mi najprzód, po najdłuższem życiu, duszę swą całą, i pójdziesz do piekła — pójdą z tobą wszyscy, którzy w ciebie uwierzą, których ty sobą zgorszysz.

— Mnie nic do nich, odpowiedział mistrz. Co się tyczy mojej duszy, weźmiesz ją sobie po śmierci, ale ja chcę długiego życia.

— Co to do mnie należy?

— Tyś je gotów skrócić?

— Nie mogę choćbym chciał i dziś ci pewnie głowę urwać po podpisaniu cyrografu. Z tem się nie taję, iżby mi to prawdziwą sprawiło satysfakcję. Jednakże, dodał, ponieważ tak drogo sprzedajesz duszę, słuszną jest, abyśmy ją wzięli z ciałem razem, i nim jeszcze z niego wynijdzie, abyśmy cię całego i żywego ze świata porwali.

— Żywego? krzyknął mistrz głośnie, żywego??

— Tak, żywego, odpowiedział djabeł spokojnie. Inaczej nie ma zgody. Gdybyś leżał na łożu śmiertelnem, przyszliby księża, zaczęliby może nawracać, wmówiliby ci spowiedź, skruchę, pokutę, żal i zaprzanie się własnych uczynków. Na co piekłu ten kłopot. Nam ci dla wszelkiego bezpieczeństwa wziąć potrzeba w go dzinie przedśmiertnej zdrowego i żywego.

— Dobrze, odpowiedział mistrz po chwili namysłu lecz obwaruję miejsce, w którem mnie wziąć będzie cie mogli, a nie gdzie indziej.

— Miejsce? a toż na co?

— Tak a nie inaczej. Trudność za trudność. Urywasz mi kawałek życia, słuszną abym to sobie czem innym nagrodził. Nie weźmiecie mnie inaczej jak w Rzymie.

— A toż co? zakrzyknął szatan, w Rzymie! A toż dla czego? Po cóż waści do Rzymu?

— Bez tego za nic umowa.

— Ale to być nie może.

— Bez tego zrywam wszystko.

— Mistrzu! szydzisz ze mnie.

— Chyba ty szatanie.

— Dla czegoż w Rzymie?

— Chcę ztamtąd pójść do piekła.

— Czyli myślisz że cię świętość miejsca obroni?

— Bynajmniej, lecz żądam nie z mego rodzinnego kraju, nie z moich drogich mi miejsc przejść do piekła, ale z dalekiej krainy, gdzie mnie nikt nie zna, gdzie ten wypadek niepostrzeżony przejdzie.

— Mistrzu! — Toć dość ci będzie wyjść za granicę. Czemuż nie Amsterdam, czemu nie Paryż, ale Rzym naznaczasz?

— Powiedziałem Rzym.

— Dziwnyś mistrzu.

— Upartyś djable.

— Więc inaczej nie chcesz?

— Nie mogę. Tak lub nie.

— Ciężki jesteś, lecz cóż z tobą począć, niech i tak zresztą będzie. Wszakże sam miarkuj co ja pocznę, gdy ty w porze nie zechcesz przybyć do Rzymu, czego między nami mówiąc, bardzo się spodziewać mogę.

— W tem twoje staranie, twoja biegłość i mądrość, rzekł Twardowski, żebyś mnie do tego zmusił, nakłonił, spowodował.

— Niechże i tak będzie, odpowiedział szatan. Dobrze, dobrze — no już po wszystkiem i zgoda przecie. Piszmy teraz prędko cyrograf, bo kury zapieją.

— To powiedziawszy, wziął czart palec Twardowskiego, uklął go i umoczył we krwi pióro, poczem głośno wymawiając pisane słowa, cyrograf redagować zaczął na danych warunkach.

Kiedy Twardowski podpisem swoim zamknął spisana umowę, na ogromnym pargaminowym zwicie, i pieczęć swoją, jak błazen, na czarnym wosku wycisnął; (błazny pieczętowali na czarnym wosku) — kur zapiał po raz pierwszy w oddaleniu, wszystko znikło. Promyk błady wschodzącego dnia uderzył jego oczy znużone, spał się na łokciu. i broniąc się snem, usnął mimowoli.


---

## ROZDZIAŁ X.

### Jako Twardowski powrócił do Krakowa i co dzwony mówiły.

Obudził się mistrz; — dzień już był na niebie biały, chłodny poranek. Maciek sierota leżał u nóg jego i w oczy mu patrzył. Zkąd się wziął i kiedy? niewiadomo było mistrzowi. Znużony wypadkami nocnymi podniósł on z wolna powieki i otworzywszy oczy, spotkał w swej głowie przy poruszeniu się pierwszym przebudzającej myśli, przypomnienie tego, co się działo z nim niedawno, uczuł w sobie odmianę znaczną, inaczej świat rozumiał, inaczej go całkiem niż wczoraj jeszcze pojmował.

Wszystko to objawiło mu się z pierwszym spojrzeniem na świat. Czuł się wprawdzie tym samym, bo pamiętał swoją przeszłość, bo jak roślina trzymał się jeszcze wczoraj wyrosłej łodygi, która ją z ziemią łączy, ale między wczoraj a dzisiaj stała jakaś zaporą, granica oddzielająca dwa życia — oddzielne i do siebie niepodobne. Tamto przeszłe życie, było żywotem pracy, niepewności, udręczeń, a razem nadziei, poczynające się nowe, było zamknięte, odkreślane, odgraniczone, nacechowane dummem zaufaniem w siebie, upodobaniem w złem i wyrządzaniu złego. Zdumiał się swoim nowym uczuciom i myślom mistrz, bo poznał jeszcze resztą wczorajszych wrażeń, że szatan nie dał mu mądrości jakiej pragnął, lecz zarozumienie i złość swoją. Jednakże głębiej się rostrząsając, ujrzał że wszystko na świecie lepiej, jaśniej i wyraźniej mu się tłumaczyło, objawiało bez tajemnic. Wewnętrznie więc zadowolnił się tem, nie rad uczuciu jakiegś nienawiści ludzi i świata niepojętej, której wprzód w sercu swoim nie miał.



— Cóż tam Maćku, spytał, pocóżeś aż tu przywędrował?

— Bom był niespokojny o ciebie mistrzu.

— Alboż masz jakie obowiązki względem mnie?

— Obowiązki? rzekł sierota z podziwieniem. Jestem ci wdzięczen.

— Cóż to wdzięczność? spytał Twardowski z nśmiejchem niedowierzania.

— Jest to mistrzu, co serce obwija całe, jakby wstęgami i ciągnie je ku dobroczyńcy. Uczucie nieopisane zlania się, pociągu, i chęci poświęcenia.

— Jest to, rzekł mistrz, przedrzeźniając po szatańsku — wędka na nowe łaski.

— O! nie, mistrzu.

— Co słyszać w Krakowie?

— Mówią wiele o tobie wszyscy.

— Cóż mówią?

— Dziwią się że na Podgórzu siedzisz, a mieszcзки gadają że z szatanem masz znowy. Maciek się to mówiąc przeżegnał a Twardowski się rozśmiał.

— A więcej? rzekł.

— Pospolity lud codzień mnie pyta o ciebie, bo wiedzą żeś twój sługa. Przychodzą do twojej izby tłumami na radę i niepokoją mnie badaniem. — Kiedy on wróci? Czy nie mógłby mi co poradzić? Oni myślą nawet, że ty możesz robić cnda.

— Może mogę w istocie, odpowiedział mistrz dumnie.

— A czemuż nie chcesz pomagać ludziom, kiedy możesz?

— Czemu? Alboż ty wiesz co ja tu robię, a czego nie robię, siedząc w tej pustyni?

— Chodźmy jednak mistrzu lepiej, do miasta. Dawno w twoich książkach myszy tylko czytają, i pył pokrył maszyny i koście i stoje. Czyliżeś z nich mistrzu wszystkie już, jakie było można, wyczerpał mądrości?

— Wszystkie i wszystko! odpowiedział Twardowski, spalić je teraz można bez żalu!

— Czemuż ze swoją mądrością kryjesz się od ludzi?

— Mówilem ci, że nie wiesz co ja czynię i jak czynię.

Maciek umilkł.

Szli ku Krakowu, a zaledwie zapuścili się w ulice miasta, posłyszeli odzywające się dzwony kościołów, jęczące głosem płacziwym.

— Co to mistrzu, spytał Maciek, że dziś tak żałobnie dzwonią, to po czyjejs duszy.

Nic nie odpowiedział Twardowski, lecz i on słyszał głos dzwonów, a dzwony wyraźnie mu mówiły:

— Biada! biada złej duszy, która się zaparła Boga i wieczności z Nim, dla świata i mądrości światowej. Biada duszy, która się oddała szatanu, bo czeka ją męka długa za krótkie zwycięstwo, bo zgniecie ją wieczność męczarni jak robaka i upokorzy jej dumę, i podepcze jej wielkość; i biada, biada duszy mistrza! bo mistrz wielki dziś umarł dla nieba! i życie zaczął pieklu!

A dzwonom odpowiadały dzwony, i w całym mieście odzywało się:

— Biada duszy Twardowskiego.

Zdawało się mistrzowi, gdy to słyszał, że wszyscy jak on rozumieją głos dzwonów i szedł dalej śmiejąc się szydersko, gdy jego uwagę zwróciły oznaki uszanowania mieszczan i ludu.

Częste jego wycieczki z miasta na Podgórze, długie tam przebywanie, uczyniły go w oczach tłumu tajemniczą postacią. Mówiono już o nim jak o wielkim czarnoksiężniku i każdy go uważał jako cudo mądrości. Sława jego urosła wysoko, rozplynęła się po ostatnich aż społeczeństwa klasach — pełno jej było wszędzie. Poznał to Twardowski, po wyrazach otaczających go twarzy i serce jego rozradowało się.

— Lecz, rzekł w sobie, jest-li to sprawa szatana, lub skutek innych dalszych przyczyn?

Gdy tak myśli, stara kobieta przystąpiła ku niemu i ucałowała jego rękę, i rzekła pokornie:

— Mądry panie, ulecz moją córkę. Twardowski chciał spróbować czy ma wiedzę szatańską, i szukał w głowie czyli



mógł zgadnąć, kto ona była, ta stara i jej córka. Jakoż po chwili namysłu znalazł w sobie przecucie, że one obie mieszkały na Kleparzu, w nędznej chacie komornice, że córka od dzieciństwa była słabą i że ją mogła uleczyć woda z niedalekiego źródła.

— Cóż jest twojej córce? spytał starej roztargniony.

Placzliwym głosem zaczęła opowiadać stara dziecka swego ulubionego słabość, lecz nim skończyła, mistrz jej przerwał słowy?

— Ona będzie zdrowa. za trzy miesiące, trzy tygodnie, trzy dni, trzy godziny, i trzy kwadranse, ale potrzeba żebyście jej dali pić trzy razy w dzień, po trzy kubki wody, ze źródła które jest o trzy kroki, od trzeciego domu podle was.

Stara wysłuchawszy rady, ucałowała suknię mistrza i śpiesznie poszła nazad, on szedł dalej ulicą.

Spotkał go uczony Włoch, uniwersytetu profesor.

— Witam was, panie.

— Witam i zdrowia życzę, rzekli do siebie po łacinie.

— Gdzież to tak długo bywał Twardowski, mówił Włoch. Cuda teraz prawią o tobie, a są tacy co ci z szatanem schadzki przyznają. Nie piękna to sława dla nauczyciela najwyższej szkoły w Koronie. Jakkolwiek nikt z nas w to nie wierzy, dla czegoż panie, tak się osamotniasz i błąkasz?

— Wiesz, odpowiedział Twardowski, że umysł potrzebuje czasem wypoczynku i osobności, kiedy go złamie praca, lub smutek zwichunie. Jest to djeta dla niego.

— Prawda, prawda, odpowiedział profesor — i mógłbyś na swoją obronę przytoczyć wiele zdań starożytnych pisarzy — wiele przykładów świętobliwych ojców, którzy na pustyni żyli; ale godziź się tak rozbratać ze swemi obowiązkami i pogardzić światem? Wszyscy cię tu ucznie i koledzy żądamy, twoja sława wdychać każe za tobą, a ty się nawet nie pokazujesz zazdrośny.

— Sława? rzekł Twardowski — alboż ja mam sła-



wę? sława jednego miasta, jednego kraju, to jeszcze nie jest sława, to się nią nazywać nie może. Ona nas więzi i peta, bo rzucając tę stopę ziemi, znowu jesteśmy obcy światu — znowu pracować musim na drugą sławę.

— Jakiejże, *mehercle*, chcesz sławy, spytał zdumiony profesor.

— Jakiej? takiej zaiste, aby sobą zapełniła cały świat, aby imię moje było w ustach królów i żebraka codzień, co godzina.

— Bóg tylko świat tak zapełnia, — rzekł cicho Włoch.

— I szatan, odpowiedział Twardowski z uśmiechem.

Zdumiał się temi słowy profesor, odstąpił krok i ddał:

— Jakże to rozumiesz?

— Jak? filozoficznie, doktorze. Najwyższe dobro, i najwyższe zło, mają absolutną sławę i nieograniczony rozgłos. — Sława więc jest dwojakiego skutku przyczyną. Powiedz mi z jakiej moja miserna wypływa?

— Z połączenia obudwuch, jeśli chcesz wiedzieć koniecznie, rzekł doktor. Uznają ci mądrym, ale odgłos powszechny przyznaje ci głęboką czarnoksiężką biegłość. która nie od Boga, nie od essencji wszystkiego dobra pochodzi.

— Jakże chcesz, odpowiedział zimno Twardowski, żeby tłum wielkich ludzi sobie tłómaczył — kiedy ich pojąć nie umie?

— Jednakże *vox populi, vox Dei*, rzekł cicho doktor. Czary są rzeczą, której egzystencji pod słońcem zaprzeczyć nie można.

— Zapewne, odpowiedział Twardowski, tak jak jest szatan, tak są czary. A zatem, *vale*.

— *Vale*.

Tylko co sobie dłoń podali i rozeszli się, tłum studentów spotkał Twardowskiego. — Była to młodzież wrzająca i chciwa nauki, odarta lecz wesola, głodna a rumiana. Na widok mistrza zapał powstał w tłumie, podniosły się w górę czapki i zagrzmiały okrzyki ra-

dośne. Wszyscy wolali:

— Vivat Tvardovius! vivat!

A Twardowski uśmiechał się do nich dumnie i radośnie, bo w tych okrzykach widział swój tryumf największy. Studenci otaczali go i witali z całym zapalem dzieci, które w swoim nauczycielu widzą najwyższą mądrość świata. Do studentów przyłączyli się mieszkańcy, powybiegały panie mieszcзки na progi domostw, wyglądali starsi otworzywszy okna, zgromadzili się żydzi, zawsze równie ciekawi jak łakomi (bo jedno z drugim chodzi). Inim chwila upłynęła, Twardowski ujrzał się otoczony, ściśnięty tłumem, który go witał i niósł go prawie na rękach powtarzając.

— Vivat! vivat Tvardovius!

Maciek sierota przejęty radością, płakał rzewnie i łązy rękawem ocierał, Twardowski się uśmiechał a dzwony pięćdziesięciu kościołów Krakowa odzywały się ciągle jednostajnie.

— Biada duszy Twardowskiego! biada ci z twoją sławą mistrzu, biada ci z twoją wielkością, boś się zaprzedał szatanu, i daleś całą wieczność za godzinę życia! Biada ci mistrzu, biada! biada. Lepiej ci było nie rodzić się, albo młodo umrzeć!

A Twardowski słyszał głos dzwonów i rozumiał, psy idąc za nim wyły smutno, ludzie krzyczeli. — W wielkim dochodzącym jego uszu gwarze, więcej było wróżb złej przyszłości, niż głosów zwycięstwa i radości. Zniechęcony, znieczcierpliwiony wreszcie stanął i rzekł:

— Milczcie dzwony!

W tejże chwili pourywały się sznuiry wszystkim dziadom, dzwonnicy na ziemię poupadali, a dzwony przeciągle jęknawszy zamilkły. Mistrz właśnie wchodził do swego mieszkania, przed którym zatrzymany tłum, wołał jeszcze długo, nim się po ulicach rozpląnął.

— Vivat Tvardovius!

## ROZDZIAŁ XI.

### Jako król przysyłał do mistrza.

Co to jest sława? Jaki jej początek? Taki jak bryły śniegu, która toczy się z gór w dolinę, z początku mała, potem większa coraz, przybierająca do siebie ła-two lgnące śniegi, rosnąca, większa, wielka, ogromna, straszna, leci, nie bryła, lecz obłokiem, lecz skalą po-tężną, leci, zsuwa się, i zasypuje siola, albo padłszy gdzie w pustą dolinę. — Tak powstaje, tak rośnie, tak się kończy sława. Czasem przychodzi ona czło-wiekowi, równie niespodziana, jak niezasłużona. Kła-dnie się bez niej spać człowiek, a budząc się znajduje ją nad głową, jak złotą koronę, która więcej ciąży niż stroi. Częstokroć jedno nic ją daje i jedno nic odbiera. — Bo co to jest uareszcie sława? Czcze wyobrażenie czegoś nieistniejącego, urojenie. Każdy ją dać może, każdy odebrać, a nikt nie wie, jak, z kogo i za czyją się sprawą rodzi.

Sława mistrza Twardowskiego, była jedną z tych, które śpiącemu przychodzą. Po zaprzedeniu duszy dja-błu, znalazł ją rano pod poduszką, i przypadła mu do głowy, jakby do niej była zrobiona umyślnie. Zdało mu się, że się jej był dawno spodziewał, że jej cze-kał, że ją sobie miał od początku przyrzeczoną, nie się jej nie dziwił, i przyjął ją jak dług prosty od świata, wypłacony w porze.

A jednak była to sława potężna, bez zaprzecza-jących, niedowiarków, bez zazdrośnych: bo mistrza Twardowskiego uważano za tak dalece wyższego od wszystkich, że nikt nie śmiał o nim wątpić, nikt nie pomyślał zazdrościć. Całe miasto z uszanowaniem schy-lało przed nim głowę; krążyły najcudowniejsze wieści,

o jego lekach nadzwyczajnych, o radach i sposobach jakie podawał, o zaklęciach, które było w mocy jego czynić. Połowę przynajmniej owych dziwacznych odgłosów zrodziło samo ich powtarzanie. Lud zalegał drzwi mistrza, możni przysyłali swoje złożone kolasy i obсыpywali pieniędzmi Twardowskiego za każde odwiedzenie chorego, za przepisane leki, za jedno częstokroć słówko. Jemu zaś tak się szczęśliwie wiodło, że każdy krok powiększał jeszcze sławę, za każdym następowały coraz dziwniejsze wieści, każdy dzień miał swoje cuda i wkrótce wszechmocności mistrza nie zakresłano już granic.

A on był rad, bo dumie jego i żądzy sławy stało się zadość aż po brzegi, pełen był tego, czego pożądał, nasycił się czem pragnął. Lecz czy był przeto szczęśliwym, że był tak sławnym? Tego nikt nie wie.

Jednego wieczora, a było tu już późno, Twardowski siedział nad wielką księgą, w której nic jednak nie czytał, przed nim paliła się lampa, Maciek spał w kącie izby oparty na ręku. Cichość do kola była wielka, nie przerwana, bo miasto właśnie sposobiąc się do snu, mówiło pacierze. Przed mistrzem na wielkim stole okrytym suknem grubem, stały i leżały różne przedmioty, których byś w owym czasie, gdzieindziej jak u uczonego z profesji nie ujrzał. Była tam trupia głowa, szczęki i żebra tak zwanych wielkoludów, wypchany krokodyl u połapu, w kącie stała mumja egipska spowinięta w hieroglifami zapisane pieluchy, do snu dłuższego niżli było życie, w słojach mokły potwory różne, cały szkielet człowieka bielał na czarnem tle ściany, nietoperz rozpięty był nad oknem. Niegdyś mistrz w tych szczątkach umarłej a niegdyś ożywionej natury, szukał jej tajemnic, badał i śledził ubiegłego życia, dziś był to dla niego sprzęt nieużyteczny i wzgardzony, porzucony jak niedogryzek owocu, z którego wszystką słodycz wyssano.

Nagle zdało się mistrzowi że słyszy szmer jakiś, jakby cichą rozmowę, uśmiechając się przymrużył oczy, i wśród uroczystego milczenia, uszu jego doszły wy-

rażnie następne reszcie świata niezrozumiale wyrazy:

*Skielet.* O co za nuda stać u tego szaleńca jakby na straży, a stać bez użytku, bo on nawet nigdy mi kości, jak dawny mój pan, nie liczy. Myszy tylko ogryzają mi u nóg palce. Lepiej by było w ziemi! bo tam się spi spokojnie noce bezsenne w życiu, a tu stojąc tak wyprostowanym, ani zasnąć nie można. Jeszcze mi poczepiali, jakby na urągowisko, te sprężynki, w miejscu muszkułów, twardo spinające kości, które za życia, tak swobodnie pod skórą i ciałem się obracały. Bodajbyś kiedyś, medrcze, jak ja służył ludziom za postrach lub urągowisko. Po cóż mnie nieużytecznego tu trzymasz?

*Ręka wielkoluda.* Milczałbyś wróblu, kiedy ja się nie skarzę. A muież tu dobrze? mnie com był przecie za życia, czemś więcej niż ty robaku mizerny? A mnież to miło słuchać, jak te łyse głowy, włożywszy na nosy po dwie pary szkieleł, wyrokuja o mnie, żem nie był człowiekiem, lecz jakimś innem podlejszem stworzeniem? A muież to dobrze! mnie olbrzymowi przedpotopowemu! mnie, com był tak wielki.

*Skielet.* Byłeś tylko wielką kością i większym głupcem!

*Poczwara w słoju.* Aj! aj! I jaż cierpię! i ja cierpię, choć niby to nie mam i nie miałem duszy i nie widziałem świata! Ale miłoż to tego świata, któren obiecywali mi tak pięknym, widzieć tylko kawaleczek ze słoika, na brudną izbę i lysą głowę.

*Mumja.* Cóż ten obrzydły motloch tam papple? Co to za jedni? Ludzież to czy niewolnicy? Cicho! Ja jestem królowa!

*Wszyscy.* Cha! cha! cha! Królowa? ty jesteś królowa? ty jesteś królowa? Witaj królowo —?

*Mumja.* Nie widzicież na tych zwitkach napisu! Ja jestem wielka królowa, nie wiem tylko co za szalony waży się krajać mnie po kawalku i dawać chorym za lekarstwo! Biada mu skoro się zechcę zemścić!

*Wszyscy.* O! biada mu sławna królowo, wielka królowo, która się mimowoli udzielasz tak wszystkim

kogo kolki zakola, komu glowa zacieży, lub wątroba przegnije!!

*Mumja.* Nie bylo w grobach naszych młodszej i piękniejszej nademie. —

*Wszyscy.* O! wielka królowa! O śliczna królowa! Co za szkoda że cię tak nadpilował nasz stary! Znać żeś królowa bez dworu, bo się sama chwalisz.

*Niedoperz.* Czy już noc? Ach! jak mi się chce zlecieć z tego okna, do którego mnie przybito! Po co? za co? co ciekawego w moich skrzydlach. Jestem prosta mysz ze skrzydlami, jak mój ojciec, jak moja matka, jak cała moja rodzina. Jak tam braciszkom i siostrzyczkom rokosznie być musi na świecie! Ile to tam światelek błyszczy po oknach, jakie chłodne i wygodne gniazda po lochach i piwnicach. O! czemuż ulecieć nie mogę!

*Krokodyl.* Wisieć i zawsze wisieć w tej zimnej dziurze jakiejś. Przecież się to kiedyś skończy, jak ten łysy stróż zdechnie! Zjadłbym go, gdybym mógł.

*Trupia głowa.* Dobry wieczór braciszku — dobry wieczór! Jakżeście spali przez dzień. Już się nasza lampa obudziła i świeci w oczy, czas wstawać. Czas wstawać! Idę na przechadzkę.

I podnosiła się klapiąc zębami, gdy Twardowski stuknął ręką o stół, Maciek się obudził, a gwar ucichnął.

U drzwi też w tej samej chwili dał się słyszeć szelest jakiś i drgnęła kłanka, potem uchyliły się drzwi, ktoś wszedł. Twardowski spojrzał tylko i bez podziwienia, bez ciekawości, uśmiechnął się z lekka, ale tak rokosznie, jakby mu się raj otwierał. A jednak przychodzić, niczem się takim nie odznaczał, coby wielki jakiś wypadek wróżyć mogło. Stała tylko u proga postać jakaś ciemną opończą osłonioną, w kapeluszu z czarnem piórem na głowie, w ciemnych butach z długimi nosami, a z pod jej okrycia wyglądała pochew szpady. Na piersiach błyskał łańcuch złoty z medaljonem podobnym. Twarz przybyłego młoda jeszcze ale już wybladła, oczy przyćmione i zagasłe, usta ści-

śnięte, nos ostry i wązki spuszczał się aż na wąs czarny, z pod którego mało co widać warg było, a brodę osłaniała w pół ogolona, paskiem czarnym tylko spływająca, zachodnim obyczajem zarastająca hiszpanka.

Nieznajomy zdjął kapelusz i postąpił.

— Czekalem na was, rzekł Twardowski powstając z krzesła.

— Na mnie? na mnie? zakrzyknął zdziwiony przychodzień.

— Tak, na was, odpowiedział Twardowski, niech was to nie dziwi — ja wiem często wprzód, co się ma, co się musi stać i jak.

— Waszmość mylicie się, odpowiedział zimno przybyły, jakby go poufalość mistrza nieco obrazila i przybrał minę na wpół pogardliwą, pół szyderską.

— Ja się nigdy nie mylę, rzekł na to spokojnie Twardowski. Czy chcecie, żebym wam powiedział kto jesteście?

— Slucham ciekawie, przedko zawołał nieznajomy, jakby był pewny że się mistrz omyli. Lecz dodał, nim zaczniesz rozmowę, niech wprzód ten człowiek — i wskazał na Maćka.

— To mój sługa, odpowiedział mistrz i skinął na sierotę, który się natychmiast małemi drzwiczkami wysunął.

— Teraz slucham.

— Waszmość jesteście dworzaninem Jego Królewskiej Mości, nieprawdaż?

— Tak jest — mogliście mnie kiedy widzieć ze dworem.

— Przysłani jesteście od króla? Król pan nasz przed kilką miesiącami stracił ukochaną żonę — czy tak jest? Mam-li mówić dalej?

— Nie potrzeba! zawołał nieznajomy zdziwiony zbliżając się, straciwszy zupełnie wyraz dumy i szyderstwa, pomieszany i niespokojny widocznie. — Ależ na Boga, zkądże to wiecie wszystko? Ja jak najtajemniej mówiłem o tem z panem miłościwym. Było nas tylko dwóch w komnacie, zaręczyć mogę, że nikt by się nie



odważył słuchać pode drzwiami! Król Jego Mość szeptał mi do ucha! Nikt na świecie nie mógł wiedzieć prócz nas dwóch, o co rzecz idzie.

— Ja wiem trzeci, odpowiedział mistrz zwycięzko, bo ja wiem wiele rzeczy ukrytych i zgaduję przyszłość.

Dworzanin muskał się ręką po głowie zafrasowany, a drugą łańcuch na piersiach wiszący podnosił.

— Nie potrzebuję więc, rzekł, pytać was czyli to zrobić możecie, czego król po was żąda?

— Owszem, jest wątpliwość, czyli to uczynię, ale nie ma wątpliwości, że mógłbym zrobić.

— Jakto? waszmość mogąc, nie uczyniłbyś tego dla króla?

Twardowski się uśmiechnął.

— Ja nie mam króla, rzekł. — Są przyczyny rozliczne, dla których potrzebuję się namyślić.

— Naprzykład?

— Król jest utulony nieco w żalu po stracie drogiej żony — ale pragnie ją jednak, albo ducha jej przynajmniej, widzieć raz jeszcze. Chce żebym go wywołał, nieprawdaż?

— Tak jest.

— Cóż będzie, gdy król znowu ukochaną ujrzy Barbarę? Otworzą się zgojone rany — zechce widząc ją, poskoczyć ku niej, uścisnąć, przemówić. — Zaleje się łzami nowemi, nową rozpaczą, kto wie czy nie więcej dozna boleści niż roskoszy? Bo dzień za dniem unosi wspomnienie, tak jak grabarze wielką górę taczkują, ale gdy się wspomnienie widzeniem odżywi, będzie nowy ciężar na duszy, jaśniej obraz jej stanie przed oczyma, a żal podwójny serce uciśnie. — Jest to jakby chciał doświadczyć po raz drugi ciężkiej boleści, której doznał przy jej zgonie. Nie prawdaż?

— Bydź to wszystko może, mistrzu, odpowiedział dworzanin pokorniejszy co chwila, i wy to zapewne lepiej wiecie, niż ja, co i jak być może i być musi.

— Ja — ja się tylko tak domyślam i rachuję, rzekł Twardowski. Są rzeczy których nie wiem i nie widzę, bo nie chcę ich widzieć i umyślnie oczy odwracam.



Przyszłość Króla Jego Mości jest właśnie jednym z tych przedmiotów, których nie chcę i nie śmiem badać.

— Cóż więc będzie?

— Prawdziwie, w tej chwili odpowiedzieć wam nie mogę, potrzebuję namysłu, trzy dni przynajmniej. Po trzech dniach, w tejże co dziś porze, przyjdź do mnie,

— Pozwolisz jednak mistrzu, abym nie odkładając. dziś ci powiedział. co król ofiaruje ci, jeśli się podejmiesz, czego żada.

— Ciekawy jestem bardzo, mimowolnie zawołał mistrz, zaiste nie domyślał się nagrody.

— Król Jego Mość nie sądzi aby wam to potrafił nagrodzić, chce tylko zostawić pamiątkę, a tą będzie łańcuch złoty wagi trzechset florenów, bogaty pierścień i szuba z przednich soboli, jedna z tych, które ostatni poseł cara przywiózł w podarunku, i których piękności wszyscy się na ówczas dziwili. Powtarzam, król nie myśli was nagradzać, lecz pragnie tylko uczcić.

— Dziękuję za łaskę dla mnie ubogiego służebnika, i miłość królewską — odrzekł Twardowski, przyjdźcie jakem wam mówił, za trzy dni.

To mówiąc skłonił głowę, a dworzanin wzajemnie oddawszy mu ukłon, wyszedł i drzwi za sobą zatrzasnął. Mistrz sam zadumany pozostał, lecz zaledwie stąpanie po wschodach ucichło, jęło coś szeleścić w kącie izby i djabeł ziewając szeroko wysunął się z pod wielkiego stosu ksiąg.

— Dobry wieczór!

— Właściem miał cię wołać.

— Właściem się tego spodziewał, i nie czekając zawołania stawie się.

— Więc wiesz zapewne o sprawie która mnie w tej chwili zajmuje.

— Nie spełna, odpowiedział djabeł obojętnie.

— Król nasz, rzekł Twardowski po chwilce namysłu do szatana, postradał najukochańszą małżonkę Barbarę (1551). Była mu ona bardzo drogą; bo nie na królowę ją brał, lecz na żonę, i mimo cnót i wdzięków pierw-

szej, ta druga, która otwartym bojem pozyskał, pamiętać nawet owej niedawno w Wilnie zmarłej zagasiła. Nieutulony w żalu, ciało jej sam prowadził do Wilna, wizerunek jej ciągle na sercu nosi, pamiątki jej łzy mu dotąd wyciskają. Dowiedział się o mnie i pospolita wieść przyznająca mi władzę wywoływania duchów, podała mu myśl użycia mnie do pokazania mu raz jeszcze z za grobu przywołanego cienia ukochanej Barbary. Tylko co wyszedł posłaniec królewski, który przyniósł mi jego żądanie. Powiedz mi, możeż to bydlę abym mu ducha pokazał? Czy można go wywołać?

— Prawdziwie nie wiem co się stało z duszą królowej, rzekł djabeł, jeśli poleciała tam wysoko, może być ciężko zwabić ją na ziemię.

— Ale nie niepodobna?

— Tego jeszcze nie wiem. Są zaklęcia na dobre duchy; na złe łatwiejsze jeszcze, i o tych wiesz od dawna. Znajdziesz je w swojej głowie.

— Wiem o tem, odpowiedział mistrz głęboko zamysławiając się.

— W każdym razie, mówił dalej szatan, staraj się takim sposobem ukazać mu tego ducha, jeśli go wywoływać będziesz, aby król nie pokochał więcej umarłej, niżli kochał żywą, owszem ażeby, jeśli można, przestraszył się lub zraził. Pamięć i miłość ku zmarłym czyni żywego umarłym z nimi, a wówczas nie grzeszą. Wielu, mówię to z doświadczenia, utrzymało się na drodze cnoty, jedynie przez pamięć zmarłych.

Nam zaś o to chodzi, aby wszyscy grzeszyli, bo na grzechu świat stoi, i wywróciłby się gdyby nie było tego *malum necessarium*. Ja mianowicie obstaruję przy tem i nie bez przyczyny. Powtóre, powinienes się starać, ażeby król ducha nie dotknął i nie zbliżał się doń, ani nawet zagadał, bo na ówczas jeśli mu duch odpowie, król umrze, a ciebie rozciwiertują, powieszą lub spalą na stosie jak czarnoksiężnika. Zresztą rób sobie co chcesz. Jeden tylko kładę warunek z mojej strony, muszę i ja bowiem coś na tem skorzystać.

Odmówić ci potrzeba wszelkiej nagrody. Zasłyszałem coś o łańcuchu, pierścieniu i sobolej szubie, ja ci to od siebie dam jeśli chcesz, a ty natomiast obierz inną nagrodę. Proś tylko aby król oswobodził i ulaskawił pierwszego złoczyńcę, którego nazajutrz na placu u ratusza będą mieli wieszać. Tobie to doda sławy bezinteresowności, ten człowiek jest wielką nadzieją piekła, oswobodzenie jego powiększy liczbę ofiar nam należnych. Trzeba o sobie pamiętać, *primo mihi*. Ja za to będę ci pomocnym w tej sprawie. Pomnij więc na dwie rzeczy; dla siebie, aby król w czasie ukazania się ducha nie ruszył się i nie przemówił, dla mnie, aby złoczyńcę uwolnił. Teraz zaś bądź zdrów, bo mi śpieszno w inną stronę. *Vale et me ama*.

To mówiąc djabeł zniknął w stosie ksiąg, a Twardowski powstawszy, rzucił się na twarde posłanie, w kącie izby przygotowane, nie gasząc lampy, która błyskała mdłym czerwonym płomykiem i oświecała dziwaczne kształty mumij, krokodyla, kościotrupa i poczwary pozamykanych w słojach. Po kilku chwilach mistrz usnął. Naówczas zbliżył się czatujący już Maciek sierota na palcach i przykrył go kołdrą, bo chłód był w izbie, sam zaś położył się w nogach i machinalnie przeżegnawszy się, mruczając coś pod nosem, zdmuchnąwszy lampę, usnął.

---

## ROZDZIAŁ. XII.

### **Jako Twardowski wywoływał ducha królowej Barbary.**

Gdy uszło trzy dni do namysłu przez mistrza zostawione, znowu w porze wieczornej zadzwieczał skobel żelazny u drzwi i powoli wsunął się ten sam dworzanin królewski, (był to M . . . . . h, poufały Augusta ulubieniec). Twardowski czekał na niego, powstał nim jeszcze drzwi otworzył i wyszedł kilka kroków naprzeciw przybywającego.

— Jakąż mam zanieść odpowiedź Jego Królewskiej Mości? po zwykłych przywitaniach spytał dworzanin.

— Rzecz jest do uczynienia podobna, odpowiedział po chwili mistrz, ale są warunki z mojej strony, bez których nikt i nic do dopełnienia żądania królewskiego mnie nie zmusi.

— Bodajby były najcięższe, wiem że Król Jego Mość zgodzi się pewnie na nie, jeśli są tylko umiarkowane, i bez ujmy godności pańskiej. — Król tak bardzo kochał żonę, i tak mocno pragnie, choćby cień jej widzieć raz jeszcze!

— Pierwszy mój warunek, rzekł Twardowski, aby Jego Królewska Mość, gdy cień nieboszczki królowej przywołany zostanie, nie przemówił do niego ani słowa, ani się pożądał zbliżyć, ani poruszył, ani krzyknął. Powtóre, aby nikt obrzędowi wywołania ducha nie był przytomny, prócz nas trzech, króla, mnie i waszmości. Potrzebie, aby mi żadnej nie ofiarowano nagrody, a natomiast Król Jego Mość na prośbę moją ułaskawi tylko pierwszego zbrodniarza, którego w mieście na gardle karać będą.

— Mogę zaręczyć, odpowiedział dworzanin z podziwieniem wysłuchawszy końca, iż Król Jego Mość

przyjmuje podane warunki. Lecz co się tyczy nagrody, waszmość unosisz się niepotrzebnie; mógłbyś przy tej okoliczności wielce skorzystać. Rozmyśl się mistrzu, nie chcesz nic więcej?

— Nic więcej, odpowiedział Twardowski z lekkim szyderskim uśmiechem.

Oba zamilkli. Dworzanin z podziwienia, Twardowski zwyczajnie się nasycając okazaną tak wielką bezinteresownością. Nareszcie przybyły zakręcił się i wyszedł, śpiesząc z wiadomością do zamku. Nie upłynęło dwie godziny, gdy nazad powrócił znowu do mistrza z żądaniem, aby natychmiast udał się za nim, i uwiadomieniem, że król na wszystko się zgadza. Twardowski już był gotów, przewidział on, że niecierpliwy August nie odłoży nawet do przyszłej nocy. Wezwany, pozbierał wszystko czego potrzebował do obrzędu wywołania ducha, wziął laskę, zwitek pargaminu, księgę, pudełko jakieś pod pachę, i uwinąwszy się szeroką opończę, rozkazał Maćkowi pozostać, a sam wyszedł z dworzaninem.

Noc już była, i ciemność na ulicach miasta, noc jesienna czarna, bo chmury wisiały między niebem i ziemią, a wiatr który je poganiał leniwo, szumiał tylko w górze, nie dając się czuć po ulicach osłoniętych wysokimi kamienicami. Pusto było wszędzie, psy tylko pod wrotami gospód wyły, a niekiedy z golarni, z winiarni, z szynkowni mimo zakazu ukazywały się błyszczące przez okienice światelka gasnące, dochodziły przytłumione pijanych głosy. Czasem na wąskiej gdzie uliczka zabrzęczała po ziemi wlokąc szablą, psy obudzone naszczekiwały, ginęły ich głosy w oddaleniu, i znów tylko wiatr szumiał. Przed idącymi mało co widać było drogi, wskazywały ją tylko z obu stron ulicy bielejące na tle czarnem nocy, wysokie kamienie o spiczastych czołach. Trzeba było zaiste dobrze znać Kraków, aby nie zbłądzić. Lecz mistrzowi i dworzaninowi wszystko wskazywało drogę, umieli rozeznaczyć ją po kształcie domostw niewyraźnie się rysującym przed nimi, po murach kościołów i dzwonnicy, po zało-

mach i zakrętach.

W milczeniu szli oni ku zamkowi. Dworzanin miał z sobą klucz od furty pobocznej, którą się wchodziło na odosobniony podwórzec. z podwórca na galerje wsparte na wysmukłych gotyckich słupach, a niemi do królewskich komnat przez korytarze trafić było można. Gdy tam weszli, nikogo nie było w dziedzińcu, nie ukazało im się nawet żadne światło, i w jednym tylko oknie zamku migiała lampa przez czerwoną zasłonę. Po wschodach dostali się na galerję, a z niej weszli w korytarz, którym dworzanin do wielkiej białej izby mistrza wprowadził, torując mu drogę. Komnata do której weszli, nie odznaczała się ozdobami, była czysta lecz skromna, do koła otaczały ją dębowe ławy do muru przyparte, na środku stał wielki stół dębowy, na krzyżowych nogach, w kącie piec nie mały takżo. Okna z błon szklanych w otów oprawnych, brzęczały zatrzęsłszy się, gdy drzwi otwarli. Strop przerznięty był belkami grubemi, misternie wyrabianemi. Na podłodze kamiennej i chłodnej spali pokotem komornicy i jurgieltnicy królewscy obwinięci w opończe, ubrani; niektórzy rozciągnięni na skórach, inni na garści podrzucanej słomy. Przy każdym widać było szablę w gotowości i rozpuszczony pas.

Na stole paliły się dwie świece żółte, kręcone, w ogromnych mosiężnych lichtarzach, nad misami wody. U drzwi oparty o ścianę czatował snem znużony komornik królewski, uzbrojony zupełnie. Gdy się podwoje skrzypiąc otwarły, kilka głów podniosło się z poscieli, i kilka głosów razem spytało.

— Kto tam? Kto idzie?

— Tsyt! odpowiedział wchodzący dworzaniu — swój. Poznano go zaraz po głosie, chcieli coś gadać dworzanie, ale on położył palec na ustach i wskazał wchodzącego Twardowskiego. Niektórzy ciekawsi oparłszy się na łokciach, zaczęli mu się przypatrywać, z tą miną szyderską właściwą dworakom królów i wielkich panów, pytali się jeden drugiego, ale nikt z nich mistrza nie znał. Szeptali tylko gubiąc się w domysłach,



a po chwili zamilkli. Tymczasem dworzanin który Twardowskiego wprowadził, dał mu znak iż pójdzie do króla, wskazując ławę i prosząc go, aby tymczasem spoczął.

Potem podniósł zasłonę u drzwi przeciwnych głównemu wejściu, zapuszczoną, i cicho na palcach skradając się, zniknął. Słychać było za nim szelest, gwar daleki, potem znowu zaczęły się zbliżać kroki ku drzwiom, i dworzanin podniosłszy zasłonę, dał znak Twardowskiemu, aby wszedł za nim. Nim zaś go wprowadził wewnątrz komnat, po cichu wydał rozkazy komornikom spoczywającym na podłodze, którzy wnet na nogi wstawać poczęli. Potem wpuszcivszy Twardowskiego, rzucił zasłonę na drzwi, i wprowadził go przez dwie izby ciemne zupełnie, do trzeciej, w której ukazywało się światło.

Była to niewielka komnata sklepiona, o jednym oknie. Podłogę jej okrywał kobierzec perski, w głębi stało łóżko za zasłoną karmazynową, stoliki marmurem pokryte po kątach, a na nich księgi w biały pargamin oprawne, i rozrzucone papierów zwoje. U łoża na podstawku okrytym suknem, stały srebrne naczynia z wodą i winem, miednica i nalewka złociste, u ściany była ława pokryta kobiercem, a wśród komnaty dwa z wysokimi poręczami krzesła karmazynowym aksamitem i złotą frendzlą obite. W kącie paliła się lampa bladym płomieniem. Niedaleko łóżka stał mężczyzna czarno ubrany, średniego wzrostu i wieku, nie zbyt otyły, blady, z oczyma które okrywały nabrzmiałe powieki. brodę miał długą dzielącą się na dwoje, włosy podstrzyżone nieco. Ten, gdy jeszcze mistrz był na progu, z pośpiechem się odezwał:

— Nie przybliżaj się do mnie waszmość! z daleka, z daleka!

Twardowski został niedaleko drzwi, gdzie go te słowa znalazły, jakimś niepojętym uczuciem wstrzymany i onieśmielony. Dworzanin który go wprowadził, zatrzymał się przy nim także.

Po chwilce, w czasie której zamieniono z obu stron

nieśmiałe wejrzenie, król, on to był bowiem, ozwał się niepewnym i pomieszany głosem :

— Waszmość podjąłeś się ukazać mi ducha nieboszczki najdroższej żony mojej, Królowej Jej Mości Barbary.

— Tak, Najjaśniejszy i Miłościwy Panie, odpowiedział Twardowski nabierając odwagi, obowiązałem się do tego, jednakże z warunkami pewnemi.

— No — jakież są tam warunki waszmości? rzekł widocznie zniecierpliwiony August.

— Naprzód, aby Wasza Królewska Mość słowa nie przemówił, ani się rzucił, ani śmiał dotknąć ducha, ani się nawet ku niemu posunął.

— Jakto? ani słowa? ani znaku czucia? odpowiedział August. To wiele! lecz zaiste kiedy tego potrzeba.

— To dla własnego bezpieczeństwa osoby Waszej Królewskiej Mości. Nagrody nie żądam żadnej, tylko ulaskawienia dla pierwszego zbrodniarza, którego na gardle dnia następnego karać będą mieli.

— Słyszałem o tym warunku — rzekł król. A na cóż to waszmości jego głowa?

— Ja nie wiem nawet kto on jest, odpowiedział mistrz.

Król pomyślał chwilę, a potem dodał :

— Proszę waszmości nie używać zaklęć złych i przez kościół zakazanych, a potępiających duszę, ale raczej z białej magii, sposoby godziwemi i modlitwą ducha Królowej Jej Mości wywołać.

Mistrz nic na to nie rzekł, i tylko głową potrząsł.

— Trzeba nam do tego większej izby — rzekł po chwili.

Na znak królewski, dworzanin poskoczył na lewo, i drzwi ukryte zasłoną rozwarł, wszedł przez nie naprzód Twardowski, po nim lampę wziąwszy dworzanin, a za nimi król, i zasłona zapadła. Przez dwoje mniejszych izb dostali się do wielkiej komnaty, a raczej sali. Była ona całkiem czarnem suknem wybita, miała troje okien w jednej ścianie, i dwoje drzwi na prze-



strzał, zawieszonych suknem jak inne. Na środku był stół suknem do dołu okryty, krucyfiks na ścianie, ławy do koła, komin także szeroki i wielki, w którym się jeszcze świeciły resztki dogorywającego żaru. Po cichu weszli tutaj, a król usiadł w krześle opodał, blade i milczący. Twardowski nic nie mówiąc rozłożył na stole czarnoksiejskie przybory, obejrzał się w koło, i kazał dworzaninowi krucyfiks wiszący na ścianie zasłonić. Król nic nie rzekł na to, jakby nie widział lub nie uważał. Stał wreszcie mistrz w przeciwnym końcu sali od króla, i już mając rozpocząć zaklęcia, rzekł do Augusta:

— Proszę Waszej Królewskiej Mości o szczyptę włosów nieboszczki Królowej Jej Mości.

August szukał pośpiesznie na piersiach drżącemi rękoma, i wyjąwszy książeczkę czarną zapiętą klamrą złotą, dał z niej trochę włosów dworzaninowi, który je Twardowskiemu zaniósł.

— Racz Wasza Królewska Mość pamiętać, abyś się nie poruszył, ani zagadał, ani odzywał, gdy się duch okaże, bo inaczej i Waszej Królewskiej Mości i mnie się co złego wydarzyć może.

Na to król głową skinął, nie mogąc słowa przemówić, znać było po nim że drżał mocno, a usiłował pokryć pomieszanie swoje; oczy jego bardziej się jeszcze powiekami osłoniły, ciężki oddech dobywał się z piersi, twarz zbladła i żyły nabrzmiwały na skroniach, ręce konwulsyjnie ściśnięte ścięły się jedna w drugiej.

Jeszcze tylko chwila, i mistrz już począł wywoływać ducha, paląc włosy królowej u lampy. Wszczął się od nich dym ciężki po komnacie, i jakby mgła na nią padła. Potem zajaśniał żywiej płomień lampy, drzwi przeciwne tym którymi weszli, otwały się z trzaskiem i wsunęła się postać, jakby nie tykając ziemi. Była to piękna kobieta, niewielkiego wzrostu, lecz kształtnej kibi, smutnej twarzy, niebieskich oczu, jasnych włosów, w białą tylko osłonięta szatę, z pod której przeglądał strój bogaty. — Oczy jej zwrócone były w stronę, w której znajdował się August. Szła

powolnym krokiem, i co chwila zatrzymywała się, to znów sunęła cicho i nieznacznie, jak skazówka po zegarze.

August gdy się drzwi otwarły, zamknął był oczy z przest్రachu, lecz wkrótce je otworzył i oniemiał ujrzawszy Barbarę, wlepił w nią wzrok boleści i rozpacz, a westchnienie ciężkie, ogromne spadło z jego piersi. Cień szedł dalej powolnie, powolnie, ciągle patrząc na Augusta tym wzrokiem, którego siłę król nigdy oprzeć się nie mógł za życia, a z wyrazem smutku, z wyrazem uczucia nieopisanego. Zapomniiał o wszystkim August, gdy się ich oczy spotkały, i nie myśląc nawet o niebezpieczeństwie, poskoczył z krzesła, wołając boleśnie.

— To ty — to ty! Barbaro!

Lecz w tejże chwili, gdy król się rzucił ku cieniowi żony, zadrżała postać wywołanej, i okropnie się w jednej chwili zmieniła. Zamiast owej Barbary Wileńskiego zamku, młodej i świeżej, ukazał się na wpół wyschły trup, którego ciało pod zbutwiałą suknią padało w kawałki, przykry grobowy zaduch i zgnilizna dała się czuć po sali. Król cofnął się, krzyknął przerażliwie i upadł na krzesło, a lampa zagasta.

Dworzanin łamiąc ręce i klnąc czarnoksiężnika, wybiegł do komorników królewskich po światło; zbiegli się oni natychmiast, podniesiono bladego i jakby nieżywego króla, i zaniesiono na łożo. Wnet wezwany Schneeberger, lekarz, pośpieszył z ratunkiem. Twardowskiego zaś próżno szukano po zamku, zniknął niewiedzieć jak.

Nazajutrz dziwne wieści chodziły o wypadku zeszłej nocy, mówiono że Twardowski wywołał cienia zmarłej królowej, i o mało tem króla nie zabił. August zaś ulaskawił skazanego na danie gardła zbójcę, którego już pod szubienicę i pilata ratuszowego wiedziono.

---

## ROZDZIAŁ XIII.

### Jako djabeł tłumaczył Twardowskiemu co uczynił.

Gdy się to dzieje w zamku, Twardowski powrócił do izby i zbudził Maćka, a sam padł na łożo znużony, chcąc się snem pokrzepić, gdy z kąta ukazał się szatan.

— A cóż, rzekł, król słowa nie strzymał?

— Pochwycił się do cienia, odpowiedział pomieszany Twardowski.

— I cóż się stało?

— Cień królowej w straszego trupa się przemienił.

— Bardzo dobrze, odpowiedział szatan.

— Jako dobrze? rzekł Twardowski, przecieżeś tego nie chciał i ostrzegałeś?

— Trzeba było, odpowiedział djabeł, trzeba było króla ostrzedz aby się nie ruszał i nie porywał. Był to jeden sposób znęcenia go do przeciwnej czynności. Waszmość wiesz, że zakazane rzeczy obudzają ciekawość gwałtowną, niepohamowaną, która wiedzie do przestąpienia zakazu i zapomnienia przestrogi. Mnie zaś potrzeba tego było, aby za zbliżeniem się króla, ukazał mu się cień w właściwej swej postaci obrzydliwego trupa. Tym sposobem widzenie ostatnie, nie gorętszą miłość, lecz odrazę po sobie zostawi. Król rzuci się ku innym niewiastom, pocznie szukać rozrywki, aby zapomnieć żony, a tego ja chciałem. Dobranoc mistrzu.

Twardowski zamyślony, nic na to nie odpowiedział.

— Jestem, rzekł w duchu do siebie, tylko machiną djabelską i nic więcej. Byłóż po co wiązać się z szatanem?

---

## ROZDZIAŁ XIV.

### Jako Twardowski wyjechał z Krakowa.

Mistrz siedział ciągle zamyślony, a nie nie przerywało jego dumania, w którym jak człek nie mający celu i nadziei, który dosięgnął wszystkiego czego pragnął, a nie miał czego zapragnąć więcej, Twardowski przebiegał swoje życie przeszłe, sądząc je i głęboko się nad niem zastanawiając. Z tego punktu w którym dziś zostawał, jak sen wydawała mu się tylko młodość, nie podobna prawie do wiary. Cuda jej i dziwy zjawiały się w jego pamięci jak mary, których nie mógł spełna za rzeczywiste przyjąć. — Wśród takiego to dumania o przeszłości, wpadł nagle do komnaty mistrza dworzanin królewski i rzucając ciężki łańcuch złoty, zawołał:

— Mistrzu, król rozkazuje ci, abys wyjechał z miasta. Oto od niego pamiątka i podarek.

— Pamiątka? spytał poważnie, z uśmiechem nieco wzgardliwym Twardowski. Jeśli tylko pamiątka, przyjmuję, jeśli się ma zwać nagrodą — nie chcę jej. — Lecz cóż mi tam prawisz o wyjeździe?

— Taka jest wola królewska, życzenie jego, abys waszmość wyjechał niezwłocznie. Cały dwór, całe miasto, wie o wypadku tej nocy. Ciekawi dworscy podsłuchali u drzwi, i słyszeli gdy król zawołał: Barbaro! widziano cienie jakieś blakające się po krużgankach, w sali został swąd trupi nieznosny. Posadzają króla o czary, ciebie o oczarowanie go umyślne i naprowadzenie na to, aby się za pomocą djabła (tu splunął i przeżegnał się dworzanin) znosił z umarłymi. Do jutra rana wieści te bardziej się jeszcze, głośniejsze daleko rozejdą po mieście, na co masz tego czekać? Jedź, nie po-

kazuj się tu i dozwól ludziom zapomnieć przynajmniej o tem. Jeśli ci nie chodzi o siebie, szanuj w tem wolę króla i jego spokojność. Gdy cię tu nie ujrzą, pogłoski ustaną, łatwo będzie zadać fałsz rozsiewającym je, nikt im nie da wiary.

Twardowski potrząsając głową odpowiedział:

— Myślisz-że waszmość, iż mnie jak pierwszą z brzegu bezzębną babę, co lata na łopacie, można dowoli wezwać, a potem wypchnąć za drzwi kolanem? Alboż ten co wyzwał ducha ze świata lepszego. nie potrafi człowieka wywołać z tego świata na inny?

Dworzanin trząść się począł i blednąć.

— Ależ mistrzu, odpowiedział prędko — za cóż byś się miał mścić i co cię mogło w tem obrazić? Idzie tu o twoją spokojność, o twoją sławę.

— O moją!! Ho! moja się niczego nie lęka, głupiemu ludowi zamknę gębę gdy zechcę, i oczy byle czem zamydle — bądź spokojny.

— Nie sądź tak waszmość, odrzekł jeszcze pośpieszniej dworzanin. Nie sam głupi lud, jak go zowiesz, będzie na czary okolo króla odbyte wrzeszczał. Dowiedzą się łatwo panowie radni i senatorowie, a co gorsza biskupi, wezmą cię jak którego z tych księży, których prześladowają i proces ci wytoczą, a proces taki może na stos poprowadzić. Przypomnijcie świeże przykłady.

— Któż mnie weźmie i kto mnie będzie sądził? spytał Twardowski.

— Duchowna władza. Król nawet obronić cię od niej nie potrafi. Wiesz co się dzieje po kraju z ludźmi, już nie o czary, lecz tylko o zmianę wiary, o sprzyjanie nowinkom Wittembergskim posądzonymi.

— Alboż ja, myślisz waszmość, dam się wziąć i dam się sądzić?

— Nie — i właśnie dla tego mówię waszmości od króla, wyjeżdżajcie rychło z Krakowa.

Twardowski się zamyślił.

— Król mi to rozkazuje?

— Król ci to rozkazuje, ja radzę.

— Król rozkazuje! rozkazuje! powtarzał uśmiechając się Twardowski, czyż nie większą ja mam władzę od niego, kiedy on mojej potrzebował pomocy?

Dworzaniu umilkł, niespokojny, a po chwili napróżno stanowczej czekając odpowiedzi, rzekł:

— Z resztą mistrzu, rób jak chcesz i bądź zdrów. To mówiąc śpiesznie przelekniony się oddalił.

Twardowski powstał i chodził, rzucił łańcuch o ziemię i podeptał, potem podjął go i włożył na szyję, jakby się rozmyślił, a nakoniec zawołał Maćka.

— Maćku, rzekł, siadaj na koń i jedź ze mną.

— Mistrzu, zkądże konie!

— Jak to? nie ma koni?

— Nie było ich nigdy u nas.

Mistrz poszedł, wziął zgasty węgiel z komina i ujawszy go wymalował nim parę koni na białej ścianie izby. Potem rozkazawszy jeszcze raz Maćkowi siadać na mniejszego podjezdka, sam na większego nogę założył i wyjechał oknem na ulicę, zakławszy wprzód próg izby, aby nikt do niej wejść nie mógł w czasie jego niebytności. Malowane konie właśnie się wysunwały oknem, gdy Kraków się budził, a pracowici ludzie zaczęli już pokazywać się na ulicach. Postrzeżono je i rano całe miasto wiedziało, że Twardowski wyjechał równo ze świtem na malowanym koniu.

---

## ROZDZIAŁ XV.

### **Jako Twardowski dawał różne dobre rady ludziom.**

Nie było jeszcze zupełnie ciemno, gdy Twardowski ze swoim towarzyszem, na wpół drogi porzuciwszy konie zmęczone, a posiadawszy na koguty złapane gdzieś we wsi na śmieczku, przybliżali się do miasteczka Bydgoszczy. Jak tylko mistrz ujrzał opasujący je wał, bramy i biejące domostwa, powitał je skinieniem ręki, i natychmiast wszystkie koguty i kury całego miasteczka i wszystkie sowy z dzwonnice poddaszów i wszystkie niedoperze z piwnic i sklepów, odezwały się witając go nawzajem. Powstał ztąd tak wielki hałas, że zagłuszył dzwony, bijące na Anioł Pański. Zaczem wjechali przez brame w miasto na kogutach siedząc, a lud zgromadzony na przyzbach domów, szedł za nimi i zbierał się tłumnie, wołając na dziwowisko niesłychane. — W towarzystwie tłumu, który ich otaczał, dostali się do gospody w rynku pod znakiem Zgorzelca, tu zsiadli ze swych rumaków, i udali się do izby gościnnej. Pod oknami gospody była już niemal cała ludność wołając, krzycząc, szemrząc i rozmaicie zgadując jacy to podróżni na kogutach przyjechali. Twardowski, aby się jej pozbyć, wysłał Maćka z oznajmieniem ludowi zgromadzonemu, iż przybył wielki mistrz, czar-noksiężnik i nekroman, który czas jakiś tu zabawi, a tymczasem potrzebując spoczynku, zaleca wszystkim, aby się po domach rozeszli. Maciek wyszedłszy na ganek gospody, powiedział jak umiał, to co mu kazano; lud tymczasem wołał i wykrzykiwał:

- Niech nam jakie dziwo pokaże!
- Niech mnie uleczy!
- Niech mi da pieniędzy!
- Niech mego męża wskrzesi!



— Niech moją żonę naprawi!

Tysiąc głosów podobnych słychać było, a Maciek nie mogąc ich wyrozumieć, uszy zatknął i uciekł do gospody. Lud widząc, że się czarnoksiężnik nie pokazuje, powoli gwarząc rozszedł się przecie. Całą jednak noc rozprawiano o nowo przybyłym, radzono się o co go miano nazajutrz pytać, o co prosić, każdy wybierał się do niego i każdy znalazł z czem i po co. — Niespokojna to była noc w Bydgoszczy i mało kto zasnął przed świtem, niespokojność opanowała wszystkich i nikomu skleić powiek nie dawała.

Nazajutrz rano gospoda była pełna i drzwi alkierza, w którym był mistrz, obleżone, ale Twardowski nie w humorze radzenia, wyszedł kominem i usiadł na dachu, odetchnąć nieco świeżem powietrzem. I tu go przecież spostrzeżono, poczęto wołać ze wszystkich stron, wzywać, prosić i krzyczeć, aż ubłagany nareszcie zszedł do izby i kazał drzwi wszystkim potrzebującym rady otworzyć.

Naówczas to trzeba widzieć było, jak się tam ludzie cisnели, co to była za wrzawa, jaki ścisk. Starzy i młodzi, wszystkich stanów, wiar i obojej płci, przychodzili jedni w nadziei pomocy, drudzy dla ciekawości.

Twardowski przypuszczał ich do siebie z kolei.

A nawróżd wcisnęła się stara baba bez zębów, okijn, z różańcem w reku, książką pod pachą, z pręgą fioletową na nosie, od uścisku częstego okularów zostawioną, oszarpaną i obłożoną. Ta wdowiego czepca podnosząc nieco, odezwała się chropawym głosem:

— Klaniał się dobrodziejowi memu milemu.

— Mójże ty mileńki, kiedy ty taki mądry, daj że ty mnie meża. Już trzy roki jak mój nieboszczyk pochowany za miastem, a dotąd nikt się do mnie nie swata. Taki to teraz świat zepsuty, że tylko do młodych lgną wszyscy.

Mistrz jej odpowiedział.

— Wykon co masz w głowach łóżka zakopanego i wsyp w kufer stary, a pójdiesz za mąż prędko. Le-



dwie tych słów domówił, kopnęła sie staruszka, a za nią w ślady czeladnik nieboszczyka jej męża białoskórnik, i nim zaszli do domu, już sie jej w drodze oświadczył, a nazajutrz sie zaraz pobrali.

Nastąpił młody, urodziwy chłopak, temu nie dał mówić mistrz, ale sam go wprzód zagadnął.

— Tobie pewnie potrzeba serdecznego lekarstwa?

— Aj prawda, odpowiedział chłopak krecąc w rękę czapkę i wzdychając, już rok i kwartał temu, jak kocham pannę Małgorzate od Malchera złotnika, a tak jest twardego serca, że jej niczem poruszyć nie mogę.

Twardowski wziął go na sekret i rzekł mu po cichu:

— Weźmiesz zabitego niedoperza, tego o północy na młodym miesiącu zaniesiesz do mrówiska na smętarz i zostawisz go zakopawszy w niem, aż dopóki go mrowie tak nie obje, że tylko kości zostaną gołe. Te kości wykopiesz o północy, a będzie między niemi dwie, tobie potrzebne, jedna zagięta jak kluczka, druga jak widelki. Jeśli zechcesz, by cię dziewczyna kochała, przyciągnij ją kluczką, jeśli cię napastować będzie, odepchnij widelkami natretną.

To rzekłszy odprawił go mistrz, a czeladnik pobiegł uradowany, i od niego to potem, ta wielka tajemnica rozeszła się po całym świecie. tak że doszła aż do naszych czasów.

Nastąpił gruby i otyły mieszczanin, który skrobiąc sie w głowę i ściskając kapuzę pod pachą, przestępował z nogi na nogę, szukać się zdawał języka w gębie, bo stał i milczał, próżno widocznie siłąc się coś powiedzieć. Biedził się i pocił, połą i rękawem czoło ocierał i chrząkał.

— Cóż to waści? zapytał go Twardowski.

— Ciężka bieda, odpowiedział wreszcie pokaszłując mieszczanin, od jakiegoś czasu oczarowali mnie. Mam złą wiedźme sąsiadkę, która do nas coś ma i urzekła nam gospodarstwo, dobytek, wszystko, tak że lichowie po jakimu się u mnie dzieje.

— To fraszka, odpowiedział mu mistrz. Zakop tylko

pod progiem domu piórko *in quo sit argentum vivum inclusum*, dodaj do tego garść bylicy i wyżłinu, a w chacie powieś Ś. Jańskie ziele, upewniam że żadne *maleficia* cię nie dotkną.

Uklonił się potrójnym nawrotem do ziemi mieszcza-  
nin i spiesźnie począł cisnąć uazad przez tłum do do-  
mu; miejsce jego zajął średniego wieku człowiek, który  
po łacinie mistrza pozdrowił.

— Cóż to waszmości potrzeba, zapytał go Twardo-  
wski, że mojej rady zasięgasz, będąc jak widzę sam  
lekarzem?

— Wielkie zło, *celeberrime et sapientissime*. Ktoś  
mnie oczarował, czuję po sobie te czary, które mi odej-  
mują siły, zdrowie, spokojność, a na to nie mam le-  
karstwa w mojej aptece. Próżno wartuję dzieła mą-  
drych ojców nauki naszej, żadnej tam na to rady nie  
znalazłem. Muszę dodać że ten urok wrzuciła na mnie  
kobieta, której kochać nie chciałem i nie chcę, a którą  
teraz kochać muszę skutkiem czarów.

— Łatwo ten urok rozpedzić, uśmiechając się, rzekł  
Twardowski, mam na to pewną i niezawodną receptę.\*)

„Si quis ad aliquam vel aliquem, nimis amandum,  
*maleficiatus fuerit*, tum *stercus recens illius quem vel*  
*quam diligit*, ponatur mane in ocrea vel calceo dextro  
*amantis et calciet se, et quamprimum factorem sen-*  
*tiet, maleficium solvetur*“.

Zapisz to sobie panie doktorze. —

A doktor spiesźnie dobył papieru, i umieściwszy  
na nim endowną receptę skwapliwie, uklonił się nisko  
i wyszedł.

Wyrwała się natychmiast jakaś jejmość w potar-  
ganym czepcu na głowie, rozczochrana, czerwona jak  
księżyc gdy wschodzi, oszarpana, obłocona.

— Aj dobrodzieju ratuj! zawołała: Ty co wszystko  
umiesz i wszystko możesz, zrób ty między nami zgo-  
dę. Już rok jak żyjemy z sobą by tłuczek z makutką,  
a kłócim się, szarpiem, swarzym, bijem noc i dzień,

\*) Wyjęte do słowa z dawnego rękopismu.

aż sąsiadom nawet spokoju nie dajemy. Mnie się zdaje że to on winien, a on powiada że to ja. On, nawet to bardzo dobre człeczysko i jać niczego kobieta, a jak się nas dwoje zejdzie, niech Bóg nie dowodzi co się dzieje! A gdybyś ty mógł dobrodzieju na to poradzić, już bym ja tobie dała, czegobyś ty tylko żywie chciał, bo dali Bóg, dłużej w tym ogniu wytrwać nie można, choć by człek był aniołem świętym.

— Można dać temu radę, odpowiedział mistrz poważnie, postarajcie się tylko o samca wronę i wronę samice. Jejmość noś zawsze serce samicy, twój mąż samca, nie porzucając nigdy, a zobaczycie, że zgoda do domu powróci.

— Pewnież to mój dobrodzieju?

— Najpewniej. Idź z Panem Bogiem. To mówiąc Twardowski uśmiechał się szydersko, tuląc swój śmiech w rękawie sukni.

— Tylko pamiętaj, dodał, przez pierwszy tydzień choćby cię mąż łajał, bił, choćby się jak nad tobą znęcał, zawsze mu ustępuj.

— Ustępować? he? zawołała kobieta, a jakże to długo?

— Tylko tydzień.

— Tydzień, trochę to długo, ale już ja na jegomościę słowo spróbuję.

Druga za tą kobietą cisnęła się do stołka, na którym mistrz siedział i płakała.

— Jegomościuniu, powiedziała płaczliwie ocierając się fartuchem, mężysko mnie zwodzi, na jakiegoś tajemnice przedemną, kryje się ze wszystkim, nigdy mi nic powiedzieć nie chce, ażem wyszła z tego żalu, że mi tak nie ufa.

— Jejmość jesteś ciekawa? zapytał mistrz.

— Jużciż, kto nie ciekawy, dobrodzieju? odpowiedziała kobieta, chyba kto nie żywy? A prócz tego, nie lepiejzeby to było, żebym ja wiedziała o wszystkim, co się w domu dzieje? Tać to do mnie należy!

Twardowski jął się uśmiechać znowu, tak jak się prawie zawsze uśmiechał, kiedy komu radę dawał. —

Zapewne, pomyślał w duchu, lepiej będzie z tem djabłu. I szepnął jej do ucha:

— Rozplataj żywego dudka i połknij jeszcze drgające serce jego, a o wszystkim, o czem tylko wiedzieć zażadasz, będziesz natychmiast wiedziała.

Kobieta złapawszy rade w ucho, jak oparzona poleciała do domu.

— U mnie, rzekł podsuwając się stary jakiś mieszczanin eksburmistrz, w siwym kontuszu i w szafranowym brudnym żupanie, u mnie, wielce mościwy panie — djabli w domu królują — ktoś ich nasłał. Jak tylko przyjdzie noc, zaczynają tańce, skoki po górze, koło domu, śpiewy, chichy! A ja tylko leżę w łóżku i spać nie mogę, a modłę się ciągle i boję się okrutnym sposobem, aż do białego dnia; bo o białym dniu wszystko to się kończy. Drzwi od ulicy wielkim stukiem trzasną, a potem już cicho, djabli swoje wytańcowali.

— Waszmość macie młodą żonę?

— A jużciż młodą, odpowiedział burmistrz, alboż co?

— Nic to, nic, rzekł Twardowski potrząsając głową. Jeśli to czary tylko, zakadźcie trupim zębem po izbach, a ustaną; jeśli nie czary, to nie ma innej rady, tylko żeby albo twoja była stara, albo żebyś ty był młody.

— No! ale kiedy to być nie może, rzekł burmistrz wytrzeszczając oczy.

— Dla czego nie może?

— Możeż to być, żebym ja był młody, kiedy już się zestarzałem? zapytał znówu.

— Ścisłe biorąc, mogłoby to być.

— Ale to pewnie bardzo trudne, kosztowne; — musi to być operacja jak nad robieniem złota?

— Niezmiernie trudna, odpowiedział Twardowski, nie myśl nawet o tem. Ja sądzę że u ciebie w domu pewnie czary tak stukają i hałasują, zakadź tylko trupim zębem i ruszaj z Bogiem.

Burmistrz milcząc i skrobiąc się w głowę odszedł.

— A zatem, odezwał się Twardowski, dość już tych

rad, wy zaś reszta ruszajcie także do domu, nie mam więcej czasu.

Mimo tego wezwania, ciżba zalegająca izbę nie ruszała się, a mióstwo naciskało jeszcze. Próżno mistrz rozkazywał i groził, każdy innym głosem, każdy innym zakleciem, prosił, błagał, aby choć jemu jednemu poradził, dopomógł. Mieszały się głosy dziwaczne, wyciągały ręce, posuwały najrozmaitsze postacie; aż widząc że temu końca nie będzie, mistrz obejrzał się i spotkawszy w kącie starą wytartą miotłę, zawołał do niej, aby wszystkich precz wypędziła i drzwi za nimi zaryglowała.

Posłuszna, wnet ruszyła się, stanęła wystrzępiona już staruszka, i nuż w lewo i w prawo kręcić się i zamiatać gości na wielką kupę, ze wszystkich stron zgartując. Widząc że nie żarty, wynieśli się wszyscy popychając i tłocząc za drzwi, które miotła zatrzasnąwszy za niemi, stanęła w pośrodku izby, czekając dalszych rozkazów. Twardowski krzyknął na nią:

— Miotła w kąt!

I miotła poszła w kąt posłuszna.

Ledwie ten porządek uczyniony został, zaczął ktoś silnie i natarczywie do drzwi pukać, powtarzając coraz mocniej, coraz częściej razy, od których aż się spróchniałe drzwi gospody kołysały.

— Kto tam? spytał mistrz.

— Przez miłosierdzie puśćcie mnie, rzekł głos z za drzwi żebrzący, jestem biedny szlachcic, potrzebuję koniecznie rady mistrza — umrę tu podedrzwiarni, jeśli mnie nie puśćcie. Dawno już szukam kogo, co by mi dopomógł, muszę teraz koniecznie widzieć sławnego mistrza.

— Idź do licha i nie wrzeszcz mi nad głową, odpowiedział Twardowski.

— Nie pójdę, nie pójdę, będę tu piszczał pod progiem do jutra, nie odstąpię krokiem. muszę koniecznie widzieć się z mistrzem.

I jak jął tak jęczeć i modlić i prosić, tak nareszcie Twardowski dał się pokonać, i rozkazał go puścić

miotłe, ale tylko jego samego z tem, aby stała na warcie u drzwi i wszystkim przystępni broniła do nich, nie zważając na stan, wiek, płeć, prośby, łkania, płacze i zaklęcia.

Wszedł zatem do izby blady, chudy i wysoki mężczyzna, kłaniający się aż do stóp mistrza i płaczącym odzywający się głosem. Miał on na sobie wyszarzaną kapotę nie mającą już żadnego koloru, buty wykrzywione, czerwone odrosy i błota, dzinurawe, czapkę pozszywaną z kawałków. Resztki koszuli wyglądające z pod kołnierza kapoty, świeciły gestemi dziurami. Chcąc wzbudzić litość, nie można się było ubrać wymowniej.

— Cóż to waszmości tak dolega? spytał mistrz mierząc go oczyma.

— Nedza, mój królu, odpowiedział szlachcic, oddałbym duszę djabłu. żebym tylko mógł pobogacieć, tak mi już dokuczyła nedza, tak jestem biedny, tak — Ot, patrz tylko królu na łachmany.

I potrzasał łataną kapotą.

— Prawisz androny i chcesz mnie oszukać, rzekł mistrz, bajki to, bo masz pieniądze.

Szlachcic poczerwieniał, zbladł, wyprostował się, zakaszał i zawołał innym głosem wcale.

— Ja?

— Wiedz, rzekł mistrz, iż przedemną nie ma nic skrytego, mógłbym ci nawet powiedzieć co do szeląga, ile kop groszy leży w twojej skrzyni w alkierzu pod czarną podartą oponczą.

Szlachcic potarł ręką po czole, ruszył ramionami, splunął, a gestemi kroplami pot zaczął mu spływać po twarzy.

— Nie jesteś ubogi, jak mówisz — ciągnął dalej mistrz, jesteś tylko chciwy, nigdy ci nie dosyć tego co masz, chciałbyś więcej i więcej, a niczego nie używasz.

— No, to prawda, odpowiedział szlachcic po chwili namysłu, na co się mam przed waszmością zapierać, ale czyż to już tak bardzo co złego? A nie masz spo-



sobu, żebym się stał bardzo a bardzo bogatym?

— Są sposoby, rzekł mistrz, ale nie łatwe.

— Trudne! ba! odpowiedział szlachcic, ależ chcącemu nie trudnego.

— *Nihil difficile amanti*, odezwał się Twardowski, parodjując dziwacznym głosem znajome słowa Cicerona

— Prawda? chciałżebyś za pieniądze oddać djabłu duszę?

— A na co mnie ta dusza — rzekł prędko szlachcic, byle ją tylko chciał wziąć a mnie dać pieniędzy, z całego serca.

— Próbujże, ja ci dam sposób. Znajdź sobie gdzie w lesie chatę pustą i niezamieszkałą oddawna, do którejby od wsi i dworów pianie kurów nie doszło. W tej chacie zamknij się sam jeden, z jedną tylko świecą, na całą noc. Weź z sobą dziewięć sztuk srebrnych pieniędzy. Te pieniądze licz przez całą noc, bez ustanku, od jednego do dziewięciu i od dziewięciu uazad do jednego. Jeśli się nie omylisz ani razu do świtu, szatan ci da wielkie skarby, jeśli się tylko raz zająkniesz, albo zapomnisz, albo dwa razy jedno powtórzysz. czeka cię wielka bieda. Chcesz, próbuj tego sposobu, ruszaj sobie.

Szlachcic wysłuchawszy uważnie całej nauki, rozpytawszy się jeszcze o szczegóły, sklonił się do stóp mistrza i wyszedł. Twardowski śmiał się do rozpuku siadając po wyjściu jego na stolku.

— Dobrze im wszystkim poradziłem, rzekł sam do siebie, lecz nie ze wszystkiego djabeł będzie kontent, tak mi się zdaje — tak mi się zdaje!

Tylko co te słowa powtarzał, aż ci i djabeł wylazł z zapiecka, uśmiechający się wesoło, i jak się zdawało w najlepszym humorze.

— Zdrowia waszmości wielki mistrzu, rzekł, słuchałem tu z za pieca cały czas twoich rad zdrowych i winszuję sobie, żem tak skutecznego pomocnika znalazł, tak gorliwego o sprawę piekieł i niezmordowanego gorliwca. Za wszystko ci dziękuję, niczego nie wymając.

— Cóż to jest? chyba ci się co przestyszało? rzekł mistrz. Ja twoim pomocnikiem? chyba mimowoli lub omyłką! W czymże? powiedz mi proszę?

— We wszystkich swych radach, odpowiedział djabł, miałeś oczewiście na widoku dobro piekielne i nasz interes. Doskonale umiesz naprowadzać ludzi na zgubę, pozornie najzdrowszemi radami, lub niewinnemi tylko na oko.

— Ale ja o tem wcale nie myślałem, zawołał mistrz, świadcę się — świadcę się sobą samym djabł, cóżem tu w interesie piekła uczynił? ty tylko chcesz mię dreczyć lub żartować ze mnie.

— No! no! mów, jak ci się podoba, a tymczasem chceszli się przekonać że to prawda, co ja mówię?

— Najchętniej.

— Idź więc za mną i patrzaj na skutek, jaki twoje rady uczynią.



## ROZDZIAŁ XVI.

**Jako szatan ukazuje Twardowskiemu, na co wyszły jego rady.**

Djabel poniósł naprzód Twardowskiego do domostwa owej starej baby, która go prosiła o męża, a której mistrz doradził wykopać, co się znajdowało w głowach jej łóżka. Czeladnik wprowadzie poślubił ją sobie zaraz, ale bił okropnie (widzieli to i inne rzeczy jeszcze, gdyż szatan ukazywał przyszłość nawet Twardowskiemu), była z nim najnieszcześliwsza, przeklinała swoje głupstwo i radę mistrza.

— A wiesz mistrzu, na czym się to skończy? zapytał go djabel.

— Nie widzę i nie domyślam się, bicie kończy się na sińcach i nic więcej.

— Skończy się to na zbrodni, rzekł djabel; będziesz li chciał widzieć. a zobaczysz; już do tego niedaleko. Stara szuka ziela, które ugotuje młodemu małżonkowi *certissime*.

Szli potem dalej do domku owego chłopaka, któremu Twardowski doradził, jakim sposobem miał pozyskać miłość u Magdy dziewczki Malchera złotnika. Chłopak sposobił się już do wesela, Magda za nim szalała.

— Ach! rzekł na to Twardowski — i tu znowu chciałbyś widzieć co złego?

— I tu, odpowiedział djabel, widzę nieochybne żniwo dla piekła. Oto ci się pobiorą, ale ich miłość wymożona czarami, rozleci się prędko po ślubie, — natenczas pani młoda pomyśli o innym niegdyś jej miłym czeladniku złotnika, i będzie z tego 1 *Adulterium*, 2 *Homicidium*, po 3 *Damnatio*. Tego wszystkiego nie

byłoby pewnie, gdyby ją czeladnik ów poślubił; żyliby w zgodzie i pokoju bez grzechu, kochali by się jak się kochali; i tu więc musi ci mistrzu piekło podziękować.

Twardowski się zadumał.

— To są, rzekł tylko, paradoksalne przypuszczenia.

— To są matematyczne prawdy; odpowiedział djabeł. I szli znowu do domu mieszczanina, któremu Twardowski dał *antidotum* przeciw czarom. A djabeł ukazał mistrzowi, jak stara sekutnica, która wprzód czarowała tylko, widząc się niesilną w czarach, któremi nie więcej uczynić nie mogła, gotowała sąsiadowi napój, nie czarodziejski już, ale skuteczny, bo śmiertelny — truciznę.

— I tu patrz na czem się kończy, rzekł szatan, wybornie! Gdyby tylko czarowała, mniej by było złego, ale dałeś mu lekarstwo przeciw czarom.

Potem ciągneli się dalej ku mieszkaniu doktora, któremu mistrz dał radę, jak się pozbyć miłości, narzuconej mu gwałtem przez dziewczynę zakochaną w nim. Doktor już był użył przepisane go lekarstwa, i dobrze mu poskutkowało, lecz dziewczka z rozpacz y rzuciła się w złe życie, związała z pannami fraucymeru S. Marka, aż nareście niedaleka była i zamtu zu.

— Gdybyś był tej tak skutecznej rady doktorowi nie podał, rzekł djabeł, on by był rad nie rad słuchając narzuconej mu passji ożenił się z dziewczyną; byliby żyli z nią cuotliwie; tak zaś, choć jedno z nich powędruje do piekła. A zatem i tu dobry skutek twoja rada przyniosła. Dziękuję za nią uniżenie.

— Czekaj, czekaj, odezwał się mistrz, jest gdzieś mieszcza, której dałem sposób pewny na ustalenie zgody w małżeństwie, bo się stadło nie godziło; obacz ym czy i to na złe wyszło.

— Obacz ym, oto tu właśnie, rzekł djabeł i wskazał z uśmiechem na domek niedaleko stojący.

Widać w nim było dużą izbę białą, w której jedaym końcu ziewała kobieta, w drugim spał mężczyzna. — To jest owa zgoda, dodał, on pije, a ona go okrada — ustępują sobie i przebaczą y wzajemnie.

Zgodni są, ale zgoda wiedzie ich oboje do niechybnej zguby. Póki się kłócili i piluowali, on nie pił i musiał pracować, ona nie kradła i nie stroiła się w trzęsidlą, łaćcuszki, czółka, kształciki i tym podobne, wiodące wiadomo do czego cacka.

— To już nie moja w tem wszystkim wina, ale tylko twoja sprawa djable, rzekł Twardowski.

— Nie ja im dałem zgodę, odpowiedział ruszając ramionami Mefistofilis.

— Jednej jeszcze kobiecie, dodał mistrz po chwili, podałem sposób dowiedzenia się tajemnic mężowskich, ale o tem domyślałem się, że nie na dobre wyjść musiało.

— Właśnie wyrokiem sądów wójtowskich męża jej skazanego na gardło, kat w rynku ścina teraz, rzekł djabeł spokojnie; tajemnicą jego było, że z dwoma towarzyszami Gdańszczanami kuł fałszywą monetę. Dowiedziawszy się o tem żona, wygadała dobrej przyjaciółce, pod wielkiem zaklęciem, sąsiadka przyjaciółki powiedziała żonie ławnika, ławnika żona złotnika żonie, żona złotnika burmistrzowej, a burmistrzowa szarą godziną mężowi, mąż wójtowi, i tak *finis bonus* pod szubienicą, to ci się gracko mistrzu udało.

— A tenże burmistrz, któremu zaleciłem kadzić trupim zębem od czarów?

— Próżno kadził i okurzał. Dla tego żona całe nocy z gaszkami się szamocze, kiedy mężysko sądząc że to djabli tańczą po górze, nie śmie końca nosa z pod koldry wyściubić. Myśli on już znowu prosić cię żebyś mu dał młodość, jak przyrzekłeś podobno, albo żebyś jego żonie starość przyspieszył. Ale o tem potem.

— Chciałbym zrobić na nim próbkę wielkiego mego eliksiru i sposobu przywracania młodości, dodał mistrz.

— Jak chcesz, odpowiedział djabeł, wola twoja, skutki tylko nasze, i zawsze dla nas równie pomyślne będą.

— Zrobiliście mnie więc niewolnikiem swoim i kmieciem? oburzając się przerwał mu mistrz.

— Wszak robisz co ci się tylko podoba!

— Ale skutki moich czynności wieżecie i obracacie na swoje.

— A któż na świecie kieruje zupełnie skutkami swoich czynności, rzekł djabeł pokornie. Działanie i skutek, jest to zupełnie celowanie i strzał. Niech jak chce strzelec celuje, przecież często strzala celu chybi, i głowy za nią nie dać.

Umilkł mistrz, bo nie było co ua to odpowiedzieć.

— A szlachcie, rzekł po chwili, któremu doradziłem sposób pozyskania ogromnych skarbów, ten już bez wątpienia w siódme piekło postąpić musiał?

— Hm! o tym nieco wątpie, odpowiedział djabeł, trzeba będzie popracować.

— Zawsze mnie na przekorę! On! zawołał mistrz, żartujesz zapewnie francie, ale żart niewczesny. Wiem ja z pewnością, że szlachcie ten jest na waszym szerokim gościńcu piekielnym.

— Tak sie to wam zdaje, odpowiedział bies, bo wy rzeczy widzicie z ich pozorów, ale nas to więcej obchodzi, głębiej bierzemy. Jest coś w jego duszy, co go broni.

— Cóż takiego przecie? zda się że w niej nie ma prócz chciwości a łakomstwa.

— Większe jeszcze od chciwości, techórzostwo, rzekł djabeł. Lecz dobrze żeś mi go przypomniał mistrzu, pójdziemy go śledzić; trzeba nad nim mieć oko.

Już była noc właśnie i szatan obajrzawszy się do kola, pociągnąwszy nosem na cztery wiatry, przewąchał zaraz, dokąd się szlachcie udał, dla przyprowadzenia do skutku tajemniczego obrzedu, przepisanego mu przez Twardowskiego. — W stronie północno-zachodniej był w lesie opuszczony domek, niegdyś gajowego, któren z całą rodziną swoją w ostatnim zginął morze, przyniosłszy zaraze z miasteczka, do którego po mąkę chodził. Stała buda pustkami od tego czasu, nikt w niej nie mieszkał, wiatry i burze rozchwiały ją potroszę, ale się jeszcze trzymala. Położona ona była opodal od gościńca, wśród głuchego lasu, ścieżka nawet wiodąca do niej niegdyś, zarosła pokrzywami, lopuchy, i pusz-

czającą tam i sam leszczyną. Do kola osłaniała ją gąszcz, pokrywająca dzikimi bzy, kaliną i tarnem dawny gajowego ogródek, i przypierała aż pod pochyłone ściany. Ploty opadły już były i spruchniały na ziemi, w chacie ni drzwi ni okien, piec się nawet rozwalił i gruzy z niego zasypały większą izbę. Druga tylko mniejsza miała jeszcze zabite spruchniałemi dylami okienko, i w tej się szlachcic usadowił. Znalazłszy w kącie rozbitą starą beczkę, położył na niej kawał okiennicy czy drzwi, przylepił ogarek świeczki na desce i od zmierzchu liczył wciąż swoicł dziewięć szelągów. Gdy djabeł z Twardowskim przybyli pod chatę gajowego, ujrzeli go pochyłonego nad robotą, z oczylna iskrzącemi, czołem spotniałem, drżącego, wybladłego, ledwie żywego, a jednak liczącego pieniądze tam i na odwrót bez ustanku.

Szum tylko galezi, i krzyk sów odzywających się zdaleka, przerywały głuchą ciszę puszczy. Najśmielszy byłby mimowolnie dostał śmiertelnych dreszczów w takim położeniu; dziwił się Twardowski, że szlachcic, którego djabeł nazywał tchórzem, mógł choć cały drżący, wysiedzieć nad swemi dziewięcią szelągami; a tak niemi zdawał się zajęty, że oka nawet nie zmrużył, ciała nie wyprostował na chwilę, nie obejrzał się, nie odetchnął, włosów spadających mu na oczy nie odgarnął — liczył tylko a liczył.

— A! rzekł djabeł, trzeba mu trochę przeszkodzić.

To mówiąc wlażł do izdebki kominem, siadł w kącie, i zaczął hukać głosem sowim.

Wzdrygnął się szlachcic, ale liczył dalej. Potem bies zakrzyczał piskliwie, jak niemowlę u piersi. Szlachcic stał się blady jak chusta, ale swego nie porzucił. Nagle oderwał szatan kawał dachu nad głową jego, i rzucił go w ogródek z halasem i chrzęstem wielkiem; na stół i wkoło szlachcica posypały się śmiecia, słoma, drzazgi, szlachcic nie wstał i nie ruszył się, ale z jego twarzy widać było, że prawie konał od strachu. Uspokoił się potem szatan chwilę i

znowu z kąta, udając śmiech starej baby, wtórował nim jednostajnemu szlachcica powtarzaniu.

— Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć. Dziewięć, osiem, siedem, sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden.

Po chwili znowu djabeł, machnąwszy ogonem, świeczkę zagasił; chciwiec choć pociemku liczył jednak ciągle bez omyłki.

— Uparte stworzenie! rzekł bies zapalając znów świecę, umiera ze strachu, a swoje robi. Zapalenie nagle świeczki nie uczyniło zmiany na liczącym, który ani się zająknął, kontynuował.

Prawie tak całą noc przyglądając się szlachcicowi przepędzili; szatan dnia czekał, na samem już prawie świtanu wymoczywszy dobrze chciwca, podszedł pod okno i szyderskiego dobywając głosu, rzekł nagle:

— Hej! panie Bartłomieju, a nie omyliliście się czasem, aby raz?

— Nie! odpowiedział szlachcic.

— Liczcież dalej! rzekł szatan.

Szlachcic do pieniędzy znowu, ale zapłonął cały, bo był już zapomniat na czem stanął; przewracał szelągki po desce, belkocząc niezrozumiale, język mu się mieszał, drżał coraz gorzej ze strachu, widząc przepadającą całonocną pracę i lękając się zapowiedzianej srogiej jakiejs kary. Powtarzał z wlepionemi w ziemię oczyma.

— Dwa, trzy, cztery; ale nie śmiało, urywano.

Djabeł śmiał się pod okienkiem.

— Mości panie, rzekł po chwili, zbiliście się z tropu. Zaledwie to wymówił, zatrzęsa się pusta chata, i ze wszystkich stron nalecieli do niej diabli. Ten z kijem, ten z cepami, ów z pięścią, ów z ożogiem, inny z łopatą, wpadli na grzbiet szlachcica, który jak nieżywy padł pod gradem ich razów na ziemię, nie wiedząc co począć z sobą. Twardowski czy to z litości nad szlachcicem, czy przez złość ku djabłu, zawołał nagle:

— Wołaj kogo na ratunek!

Dopiero ogłuszony szlachcic wspomniat świętych

pańskich i N. Pannę i krzyknął:

— Święci pańscy, Marjo Panno! ratujcie mnie nie-szczęśliwego!

I ledwie to wymówił, odskoczyli piekielni oprawcy i znikli jakby ich nigdy nie było.

Szlachcie porwał się z ziemi, szybko zgarnął swoje pieniądze i rzuciwszy się we drzwi, uciekał co miał tchu lasem.

— Otóż, rzekł Twardowski odchodząc do djabła, widzisz że nie wszystkie moje rady na waszę korzyść wychodzą. Gdybym był nie podał mu myśli wołania o ratunek, byłby przepadł pod waszemi razami; a tak ocalony został i pewnie się poprawi teraz.

— Poprawi się? powtórzył djabeł ze śmiechem. Prawda! poprawi się. Wiesz-że nawet dokąd on poszedł?

— Sądze że prosto do Bydgoszczy, gdzie pewnie pod ciężarem przestrachu nawróci się i wstąpi do klasztoru. Są tam Reformaci.

— Są Reformaci i on wejdzie do klasztoru — odpowiedział Mefistofelis, to prawda; ale czy to mu wyjdzie na lepsze?

— Ujdzie piekła!

— Ujdzie piekła! powtórzył szatan! O! wątpię, bardzo wątpię! Postaramy się o pokusy dla niego, jakbym już widział nawet wlokącego się po gościńcu piekielnym, z tą miłością złota i cheiwością, które go nie porzuca do śmierci. Kto wie, czy nie lepiej by dla niego było, gdyby był nie wołał na ratunek nikogo.

Mistrz spojrzał z guiewem na szatana, odwrócił się od niego i mileząc powrócił do gospody w Bydgoszczy, gdzie kazawszy Maćkowi nikogo do siebie nie dopuszczać. zamknął się ze swemi myślami.



## ROZDZIAŁ XVII.

**Co mistrz we czwartek widział na Łysej górze.**

Smutny był Twardowski, niespokojny, znużony, Pierwszy raz uczuł on, że i tego co mu dał szatan, wiedzy wszystkiego, władzy wielkiej, nauki złego bez granic, nie dość było jeszcze na zapełnienie duszy. Lecz to uczucie wziął z początku za fałszywe i chwilowe.

— Nie! rzekł w sobie, ja tak czuję, bom jeszcze ledwie nowego życia skosztował, ledwie wiem jeszcze co mam i co mogę. Tysiąc jest jeszcze użytków z mojej nauki, do których jej nie zastosowałem, tysiąc rozkoszy, którym mogę rozkazać aby przyszły, otoczyły mnie i uczyniły mi szczęście, jakie sobie wybiorę. Nie jest to jeszcze ostatnie słowo, ani ostatni dzień mój, ani duo kielicha, którego ledwie dotknąłem ustami. Próbujmy co mogę, nasyćmy się czem mam. To wyrzekłszy klasnął Twardowski w ręce i zawołał:

— Pojadę na Łysą górę!

Był to właśnie czwartek, kiedy się tam wszystkie duchy i czarownice zbierają.

Był to sejm czarownic i duchów:

Ledwie pomyślał mistrz, już siedział na malowanym koniu i rzuciwszy garścią sen na Maćka, drzemającego w kącie izby, wyjechał kominem. Był już zmierzch, wiatry dał z północy, księżyc czerwony otoczony chmurą, wychodził z pod ziemi powoli; do koła mistrza orszak jego leciał, nietoperze, sowy, pułhacze, dziwne jakieś i niewidziane po dniu stworzenia. W powietrzu słychać było rozmowę wszystkich stworzeń, którą mistrz jeden rozumiał.



Spotkała go kukulka, ulubiona wieśniakom prorokini i mówiła mu:

— Dobry wieczór ci mistrzu, dobry wieczór! Dokąd to się tak śpieszysz? Po co jedziesz? Na co tobie ta ciekawość, po ciekawości smutek? Jedź, jedź, za kalinowym mostem, za trzema stogami, za trzema mogilami i trzema krzyżami znajdziesz czego szukasz, choć nie znajdziesz czego szukałeś.

I poleciała kukulka.

A potem krakała mu nad uchem wrona:

— Kraa, kraa! Witaj mistrzu! Właśnie tyłkom co skończyła z braciszkami krukami trupa, który z twojej łaski ćwierciami rozstawiony był po drogach. Smaczne było jego serce, piękne jego serce, różowe i miękkie. — Dzięki ci mistrzu!

— Któż to zginął z mojej łaski znowu? spytał siebie Twardowski; to chyba ten który kuł fałszywe pieniądze. Mniejsza z nim, lećmy dalej.

Gonił mistrza niedoperz i witał go trzepocząc skórczanemi skrzydłami:

— Nie poznałeś mnie mistrzu? Jam ci to jest, który wiszę nad twojem okienkiem w Krakowie i skrzydłami memi od czarów cię zasłaniam. Uwolniłem się przecie choć na chwilę, polecę do czarownic na Łysą górę.

Poleciał naprzód i zniknął w ciemnościach.

Nadléciała sowa i wołała:

— Uhuu! uhun! czuję śmierć, polecę pod okno i uderzę o szyby i zawołam — pójdź, pójdź! A druga za nią goniła i mówiła:

— Czuję że się ktoś narodzi, polecę pod okienko i zaśpiwam — powij! powij! a śpiew mój tak biedną przestraszy, jakby jej śmierć zwiastował. Nie trzeba było siedzieć w ogródku księżycowych nocy z kochankiem — chłodne nocy księżycowe, niezdrowe powietrze, po roskoszach choroba.

Świergotały wróble, a mistrz ich rozumiał, jak mówiły do siebie:

— Polecim do stodoły bogacza, wyskubniemy kłosa,

wypijem mu w polu co znajdziem, musi choć mimowoli dać jałmużnę. — Skrzeczala srocзка na płocie:

— Jada gości, jada goście! Jedzie pan na czarnym wozie, a na nim biały krzyż, a w wozie koni cztery, towarzyszą mu księża! Gotujcie się na przyjęcie droga pani, bo jedzie gość! jedzie gość do was, którego czekacie!

Wszystkie te głosy, mistrz lecąc nad ziemią, zbierał w ucho i w duszę, bo je rozumiał, a wszystkie były smutne.

Tymczasem w powietrzu mijal tłumy różnych duchów i postaci, jak on lecących na Łysą górę.

Tam przesuwały się stare wiedźmy, o trzech garbach, o trzech zębach, na miotłach, na ożogach, na łopatach, z rozczochranemi włosami, rozpiętymi opończami. Skakały na kozłach, na czarnych kotach, na niedoperzach leciały.

Jedna z północy sunęła się w stępie, którą poganiała tłuczkciem, miała złote czółko na głowie, i jak wszystkie, garnuszek zawieszony u pasa.

Drugą wiozła żaba, trzecią krowa czarna, każda z nich śpiewała coś pod nosem, za każdą dymiły się spalone jakieś ziela, z garnuszką zwieszonego u pasa.

Nagle przesunął się mimo Twardowskiego skielet biały wisielca z postronkiem u szyi; za nim leciało stado wron i kruków, krakając:

— Jeszcze masz ciało u boku, wiszą ci jeszcze po biodrach kawalki, oddaj nam ciało, oddaj nam nasze!

Potem ujrzał latawca i latawicę, którzy w czułym uścisku sunęli się na Łysą górę.

Potem chochlików małych, jadących tłumami.

Potem upiory blade w śmiertelnych całunach.

Potem wilkolaki, które wyjąc jak głodni wilcy szli za nimi. I wiele jeszcze dziwnych postaci przesunęło się koło niego, nim ujrzał wreszcie Łysą górę, której kościół na tle niebios jaśniejszem, czerniał w oddaleniu, a podnóże jej zaroślami okryte polyskiwało drobnymi światelkami poruszającemi się w różnych kierunkach, stojącemi, migającemi. Tu bowiem u po-

dnóża góry, zbierali się wszyscy od czasu jak wierchołek świętym przybytkiem Bożym został zajęty, nie porzucając odwiecznej schadzki, a ustępując jednak przed znakiem krzyża, błyszczącym na wierchołku.

Im bliżej był mistrz, tem wyraźniej tłum czarownic i dziwacznych postaci, oświecony tajemniczymi ogniami rozłożonemi po górze wśród zarośli, rozpoznawał. Wzlatując długo po nad głowami ich, widział i słyszał dziwne rzeczy, dziwne rozmowy, przypatrzył się osobliwym straszidłom i potworom, nasłuchiwał się szyderskich śmiechów, brzeków i śpiewów. Niekiedy z koła wyrwały się widma, brały za rece i unosiły w konwulsyjnym tańcu, podobnym chorobliwym ruchom paralityków. Wśród tłumu krecili się rozsypiani tam i sam djabli, których zdradzał płomyk wahający się nad głową i nad sercem; nie ów błądy i czysty, którym cechują jenuusz, lecz czarny — dymny, smrodliwy.

Czarownice wołały:

— Lado, lado, lado didi!

I widać było ich tańce, ich wykrzywania, podskoki, z którymi otaczały ognisko, i warzący się w niem kociołek.

Z ciekawością przypatrywał się mistrz niemieszając z tłumem i zwolna do koła oblatywał górę, zamyślony, zadumany wśród tego wesela potępionych, które dziko w jego sercu brzmiało.

Straszna to bowiem była weselość, przez której łachmany podarte przeglądała rozpacz, w której czuć było meki i śmierć.

Trafił Twardowski na szkołę.

Siedziały siedem bab, na siedmiu kamieniach grobowych, a do koła nich cisnął się tłum młodzieży. Każda zabierała głos z kolei i tłumaczyła, nauczała jak duchy sprowadzać, jak deszcz zatrzymać, jak krowom mleko odebrać, jak chorobę naprowadzić, jak osypywać, jak w zbożu zawiertki czynić, jak płaksy na dzieci nasylać itd. itd. Młodzież słuchała z uwagą, z ciekawością, z radością, i brała nauki do serca, bo nie się tak nie przyjmuje łatwo jak złe.

Dalej, w kole, czarownice pobrawszy się za ręce śpiewały pieśń, której dziwaczne wyrazy dla nich tylko były zrozumiałe. Warzyły one w kociołku napój miłośny, lubezyk — mieszając do niego włosy dziewczyny, kroplę jej krwi i łzę. — Szumowały go łapką niedoperza, rzucając weń różne zioła i dziwne słowa.

— Niech ten co się go napije, śpiewały, żyje tylko tą, która mu go dała, niech za nią jak cień chodzi, niech jej będzie posłuszny jak jej ręka, niech się dla niej da powiesić, ściąć, spalić i potępić, niech dla niej matkę i ojca zabije.

Pięknie warzy się lubezyk! Szum nad nim i piau, jak nad sercem dziewczyny miłość szumi, a męty na dnie, jak żal jej będzie tego co przeszło, gdy jutra nie stanie. — Słodko na brzegu jak w młodości gorzko w środku jak pod starość.

Szumi wiat, ognie błyszcza, sowy śpiewają — pójdź! pójdź! ale wiat nie uniesie, ogień nie spali, sowy nie wywołają wprzód kochanka, aż nie zaspokoi tej która mu da lubezyku.

Rośnie trawa u strumienia i kwitnie tylko w północ, a kwiat ma różowy co się raz w rok otwiera w wielką wigilję — wsypcie kwiatu do kotła, lewą ręką od serca. Dziewczyna go nosiła pod sukienką na piersi, i spaliła na popiół, na żar.

Włóćcie serce gołębia — turkawki, któremu strzelec zabił samkę, bo gołąb tęskni i zdycha za swoją. Niech i on tak wzdycha i usycha, gdy się napije lubezyku.

Niedaleko znowu stare baby warzyły napój inny, czarowny, i siedząc nad kotłem, kiwały głowami, machały rękami, przeciągłym głosem wołały, jedna po drugiej:

— Kładnę kość ze starej kośnicy, niech kto napój wypije, uschnie jak ta kość, zżółknie i zaniemieje.

— Kładnę wosk ze świecy kościelnej, spalonej na pogrzebie, niech mu będzie w życiu smutno, jak było na smętarzu, kiedy świeca dogorzała.

— Kładnę z strzechy kościelnej garść słomy; kto

napój ten wypije, niech mu się w duszy legną złe myśli i smutki, jak wróble i sowy pod tą strzechą.

— Kładnę serce wisielca wyschle na szubienicy, niech mu będzie tak, jak było tamtemu, gdy od księdza krzyż całował, i niech zginie jak on zginął, krutom na wieczerzę jego serce, wronom na obiad jego piersi, sępom i jastrzębiom cielsko jego na śniadanie.

— Kładnę pruchno z trumny, niech jak ona spruchnieje, niech w nim zgnije weselość i szczęście, jak w tej trumnie zgnił trup.

— Rośnie kwiat nad mogiłą, kwitnie w zaduszny dzień, czarno i biało — rzucam kwiat do napoju i niech mu kwitnie na czole czarna myśl jak ten kwiat, czarny smutek i rozpacz.

— Włóćcie serce sowy co się kryje w dzień a w nocy płacze, a ludzie ją zabijają i ptacy ją pędzają: niech i on tak będzie znienawidzony od wszystkich.

Mieszały napój w kotle trupa kością i sypały weń wszystką złość, którą miały w sercu; napój wrzał, szumiął i syczał i kipiał, aż nad brzegi. I która kropla jego padła na ziemię, wypalił, trawy, a zasychała czerwono jak krew.

Za temi inne było koło jeszcze, ale tu wśród szepków i chichotania nie mógł mistrz dójść o co szło, a nie bardzo ciekawy, pominął nie dowiedziawszy się.

Niżej uczył stary ubior młodego upióra, jak krew ze śpiących wysysać, a stara zmora młodą zmore, jak dusić biednych siadając im na piersi.

Potem szło jeszcze wesele; żenił się kozieł ze starą babą; grali im muzycy na piszczałkach kościanych, i bebnił w bębny ludzką skórą naciągane.

Ustawo im łożo małżeńskie na kamieniu grobowym i rozpięto namiot z całunu.

Tam i sam włóczyły się po górze duchy i mary pojedynczo, inni z djabłami w parze, inne jeszcze szukając sobie towarzyszy zaczępiały wykrzywając się mitośnie lub rzucały się na przechodzących. Byli tam młodzi i starzy, młode i stare, mnichy i żołnierze, szlachta i chłopstwo, mieszcзки i mieszczenie, lecz

najwięcej starych bab i upiorów. Wszystko to suwało się po zaroślach, w koło rozłożonych ognisk, gwarzyło i śpiewało, krzyczało i śmiało się przeraźliwie, targowało i kłóciło, przeklinało i wyzywało.

Gdzie niegdzie ślepi dudarze grali czarownicom piosenki i tańce; indziej biesiadowano pod krzakami, dobywając jadła i napojów z dwójczków i butli z miodem i piwem. Mistrz postrzegając wszystko nie mieszał się do tłumu, ulatywał nad nim zwolna, ciekawie się wpatrując i przysłuchiwając, a czoło jego chmurne było i pomarszczone świadcząc o głębokiem uczuciu i myślach.

Nagle uczuł się traconym w ramię a głos znajomy zabrzeczał mu nad uchem.

— Widzem tu tylko jesteś?

Był to szatan, *familiaris* mistrza.

Jakżeś mnie tu odkrył i znalazł? zapytał go zdziwiony Twardowski.

— Jak zawsze, szedłem w ślad za tobą.

— Jak zawsze, mówisz?

— Jak zawsze.

— Śledzisz mnie więc jak swego niewolnika?

— Nie jak niewolnika, przepraszam, odpowiedział szatan, ale jak matka dziecko ulubione.

— Dzięki za piękne porównanie, kto wie jednak czem bym z dwójga z lichem być wolął.

I umilkli.

— Czemuż się nie wmieszasz do naszej zabawy? rzekł szatan po chwili.

— Bawić się nie lubię, odpowiedział Twardowski poważnie, a nauczyć się tu nic nie mogę.

— A zawsze ta nauka! rzekł djabeł, zawsze ci ona mistrzu mózg psuje. Alboż człek ma się tylko uczyć?

— Mamże tu co robić, mogeż być tu komu potrzebny? przerwał Twardowski.

— Zawszeż człowiek ma tylko służyć; — odpowiedział mu djabeł.

— Cóż chcesz więcej, abym poczał?

— Żebyś szalał i bawił się z nami, a życia póki ci służywał.



— Używał życia! powtórzył mistrz ze śmiechem, na to zda mi się nie Łysej góry potrzeba i tutejszych twoich ludzi.

— Równie przecie obojętny jesteś i gdzieindziej.

— Jeszcze pora nie przyszła — odpowiedział znowu Twardowski. Człek rozumny zwleka użycie świata, póki go nie pozna zupełnie.

— A zechce go użyć, gdy będzie po czasie, gdy sił mu zabraknie, znowu poszepnął djabeł.

Ta myśl mimowolnie utkwiała w mózgu mistrza, odpowiedział jednak zimno:

— Taki człowiek jak ja, wszystko może czego chce.

Djabeł spojrzał tylko i parsknął w żółtą brodę swoją. Milczenie.

Sabat zbliżał się do końca, bliskie było kurów pianie, niektórzy już się wynosili, gasły ogniska, szumiało powietrze od wzlatujących mar, klasztorny zegar powolnie bił godzinę. — Po chwili na folwarku kury raz pierwszy piał zaczęły. Twardowski zwrócił się do Bydgoszczy, gdzie Maćka zastał jeszcze śpiącego.



## ROZDZIAŁ XVIII.

### Jako Twardowski odmłodził burmistrza Słomkę.

Rano było bardzo jeszcze, gdy już ktoś zapukał do drzwi mistrza, który noc całą strawiwszy bezsenność, siedział jeszcze u stoła, czytając w swej duszy dziwne naciskające się uczucia.

Otworzyły się. Był to ów pan burmistrz, któremu Twardowski doradził kadzić trupim zębem, a rada ta nie pomogła, bo nie było czarów w domu, nie djabli w nim tańcowali i hałasowali na górze, ale jejmościue gachy, bo burmistrz był stary, a pani burmistrzowa młoda jeszcze, i bardzo a może nadto wesola. Poznał się wreszcie burmistrz na tem i tak mówił stanąwszy u drzwi:

— *Sapientissime!* wiem już co mi się w domu dzieje — młoda żona mi szaleje. Jeśli chcesz tej mojej biedzie zaradzić, albo mnie zrób młodym, albo ją uczyni starą. Pono to jednak bezpieczniej żebym ja odmłodził, bo to dobre przysłowie, że w starym piecu djabeł pali. Jejmość moja szaleć może jak przywykła, a ja na to nie potrafię dać rady. Jak będę młodym, jeśli mnie jejmość nie pokocha, to może przynajmniej gaskowie bać się będą. Wiem ja, mówił dalej burmistrz, iż ty wszystko mocą swoją możesz, uczyni też to dla mnie, jak waszmościna łaska.

— Rzecz to nie tak łatwa, ani ją tak z kopyta do skutku przyprowadzić można, rzekł mistrz poważnie. Przerobić człowieka starego na młodego, dzieło to trudne, długie i kosztowne.

— Ja już kosztów na to żałować nie myślę, odpowiedział burmistrz, gotów jestem gdyby mi zabrakło, zastawić się i sfantować, byle tego dopiąć; boć to

warto. byleby drugi raz w życiu być młodym. Ależ jakież to mogą być koszty, mój mistrzu? podchwycił przedko skrobiąc się po łysinie.

— Znaczne dosyć — rzekł Twardowski, potrzeba na to ziół rzadkich i drogich, maści zamorskich, potrzeba długich przygotowań; nim się wszystko przysposobi i pościąga z różnych stron, rok może upłynąć.

— Rok! zawołał pan Słomka, tak długo!

— Przecież warto na to poczekać, rzekł Twardowski.

— Zapewne, szeptał pod nosem burmistrz, ale jeśli ja umrę nim się to zrobi?

— Potrzeba też, mówił dalej mistrz, jednego zaufanego pomocnika. Tego ja znajdę w moim śladze. Waszmość ułóż swoje interesa i wybieraj się jakby w długą podróż. Znajdziemy tymczasem dom jaki wygodny na ustroniu, spokojny, gdzie nam nikt nie przeszkodzi. Waszmość jeśli cenisz swoje życie, powinienś milczeć jak kamień i nikomu o tem wcale nie wspominać.

— Będę milczał jak grób, rzekł burmistrz z ukłoniem. Co się tycze podróży, udam że pojedę za skórami do Wilna, co też nie raz już czynilem. Dom najmiemy za miastem, ja go sam najlepiej wynajdę, a ten worek, rzekł kładąc na stole zieloną kaletę, na pierwsze koszty wystarczy zapewne.

— Idź waszmość ze swojej strony się gotować, rzekł mistrz, a nie dowiadaj się do mnie aż za kilka miesięcy. Ja tymczasem przygotuję wszystko do wielkiego dzieła.

A w duchu pomyślał: — Pierwsza to będzie i ciekawa próba na tym opasłym wieprzu, gdyby się nawet nie udała, nie wielka szkoda kawałka nadpsutego mięsa.

Burmistrz wyszedł nradowany; Twardowski tymczasem przecierając myśl jakąś w głowie, zawołał Maćka i rzekł:

— Znam twoją wierność dla mnie, i dla tego chcę cię użyć do wielkiego i ważnego dzieła. Nabędziesz nauki, z której kiedyś będziesz mógł korzystać, a tym-

czasem dasz mi dowód, że się nie mylę rachując na ciebie.

— Obaczysz mistrzu, odpowiedział Maciek.

— Mamy tu przerobić człowieka.

— Przerobić?

— Tak Maćku, ty będziesz dopomagał do tego. Od jutra zaczniem szukać potrzebnych ziół, przygotowywać ciecze i maści, których użyć wypadnie.

Jakoż nazajutrz zaraz kosztury wzięwszy w ręce i ubranie pielgrzymie, poszli obadwa za ziołami i potrzebniemi ingredjencjami. Nie tak to łatwo było pozbierać wszystko, co mistrz na długiej spisał karcie. Niektórych ziół i korzeni potrzeba było dobywać przy świetle księżyca, wszystkie prawie brano na młodziку, mało które na pełni, potrzeba było ich wyszukać, jednych w kwiecie, drugich w ziarnie, innych gdy już wiedły; potrzeba było jeszcze starannie je przechowywać i strzedz od zepsucia.

Za niektórymi przyprawami wysłał Twardowski daleko wiernego Maćka, dawszy mu karte. Orzechów kokowych, rogu jednorożca kopalnego, pewnych części mumiј, szukać należało daleko i drogo opłacać.

Ku tajemniczej odmlodzenia sprawie potrzebne też były niektóre części zwierząt osobliwych i rzadkich, trudno się wyszukać dających; lecz z mozolnym trudem i pomocą szatańską wszystkiego dostał Twardowski, nawet pewnej odmładzającej wody, która biła z siódmego źródła na niedostępnej górze, a której z niebezpieczeństwem życia naczepał.

Długi czas trwały same przygotowania, aż nareszcie mistrz dał znać p. Słomce, że wszystko było gotowe. Ten wybrał się już był jak w długą podróż, pożegnał żonę zalecając jej, aby o niego była spokojną, bratu porucił dom i sklep, a sam nocą przeniósł się do najętego na przedmieściu domostwa.

Wybrał Twardowski sam nów księżyca na wielkie owe dzieło. Naprzd dał jakiś usypiający napój burmistrzowi, który go całkiem na oko umorzył; to zaś dla tego aby nie czuł, co się z nim dziać miało.

Potem z wiernym Maćkiem włożyli go do kotła i gotowali długo, śpiewając jakieś tajemnicze wyrazy; wyjęli wreszcie i smarowali zioły i maściami, kropiąc wodą cudowną.

Trwało to dni kilkanaście, lecz mistrz nie zupełnie rad był ze swej pracy i wśród niej, nie rozpaczając o skutku, poczynił sobie drugiraz uwagi. Przez cały czas roboty, dusza burmistrza, wyjęta z ciała, siedziała w do-brze zaszpunktowanym słoju. A gdy wreszcie ciało zostało odmłodzone, świeże i gotowe na jej przyjęcie, wpuścił ją Twardowski ostrożnie w usta trupa, który natychmiast zwolna ożywać zaczął, poruszać się, rozumieć i wreszcie powstawać ze stołu, przecierając oczy.

Maciek, który posłuszny robił wszystko co mu kazano, ale się nigdy takiego nie spodziewał skutku, osłupiał na ten widok. Mistrz był uszczęśliwiony i rad swojemu dziełu. Burmistrz odmłodzony, zdało się tylko że utracił pamięć i powoli ją dopiero odzyskiwał, gdy się dobrze na świecie rozpatrzył.

Zaplata już była wyliczona, zaczęł burmistrz, zabrawszy się z odzieniem swoim, prędko pośpieszył do domu, naliczywszy wprzód tysiąc tysięcy błogosławieństw Twardowskiemu.

Trochę niespokojny, dawszy mu obszerną naukę dalszego postępowania, Twardowski wysłał za nim na szpiegi wiernego Maćka, który z powrotem przyniósł następującą relację:

— Gdy burmistrz zapukał do drzwi swojego domu, już był wieczór. W oknach kamienicy wszędzie błyskały światła, słychać było huczną muzykę, konie i kolasy u wrót czekające na panów, świadczyły że się liczne zgromadzenie u p. burmistrzowej bawiło.

— A jednak to ani święto, ani imieniny, ani urodziny spodziewam się, ani zapusty, rzekł burmistrz pukając zwolna. — Dziwna rzecz, ale czekaj jeno jejmość, będzie tu wszystko inaczej jak się ja tylko po-każe! mruczał pod nosem.

Otworzono mu drzwi wreszcie, ale wierny sługa

stary nie poznał pana wchodzącego i pytał:

— Czego miłość wasza potrzebuje?

— Czego? ha! ha! Tadeuszu, odpowiedział burmistrz — widzisz, powróciłem z podróży.

Maciek wcisnął się i ciekawie przysłuchiwał.

Tadeusz wyrapiwszy ogromne oczy, patrzył, ale nie rozumiał nic jeszcze, ani go poznawał.

— Prowadź mnie naprzód do komnaty, od której u niejmości klucze.

— Co? co? co on gada? bąkał wpatrując się Tadeusz. Miałżeby to być nasz pan? aleć to jakiś młody, w samej sile wieku człowiek. Gdzieżby on zgubił ten odęty brzuch, co go nosił przed sobą.

Podstawivszy świecę mało nie pod sam nos panu, począł sobie coś niby przypominać Tadeusz.

— Takimem żeć go widział kiedy jeszcze był młody, rzekł, ale zkął mu u licha to odmłodzenie? I przecierał oczy mówiąc:

— Albo ja głupi, albo pijany, albo to szatan, albo to czary.

— Ani to, ani to, ani tamto! odpowiedział burmistrz wstępując na wschody. Tylkom ja się odmienił.

— Ale jakimże u licha sposobem?

— A! to tajemnica Tadeuszu. Namysliwszy się nieco szedł p. burmistrz na górę.

— Jejmość właśnie strojna i powabna, tańczyła *gonionego*, gdy jegomość wszedł uśmiechając się do izby. Muzyka grała od ucha, usłyszano przecie otwierające się ciężkie drzwi, obejrzano się nań. Starsi jęli sobie oczy przecierać i przyszli go pytać:

— Jesteś li waszmość burmistrza Słomki syn czy krewny, że tak do niego podobny?

— Ja to sam jestem burmistrz Słomka, odpowiedział im śmiejąc się — ja sam, tylko młodszy niż byłem.

— Waszmość burmistrz Słomka! zawolali, a toć, rzekł jeden, on ze mną w ławie zasiadał lat dwadzieścia, a waszmości ledwie się was sypie! szalony!

— Głos jego, ale twarz i ciało młodsze, rzekli inni.

Aż na hałas zbliżyła się pani burmistrzowa i pa-

trzała mu w oczy.

— Ladny zakąty chłopiec, szepnęła do siebie i dodała:

— Kto waszmość jesteś, laskawy gościu?

— Wąscin mąż, moja rybko, odpowiedział burmistrz, ale młody i rażny.

— Mój mąż! ha! ha! Daj Boże, aby mój mąż był podobny do waszmości. Widzę na waszmości jego kontusz podobno i jego głos słyszę. ale nie ta daleko twarz i postawa!

Wszyscy zdumieni kołem stali przy burmistrzu. Muzycy nawet i grajkowie oczy wytrzeszczali, szepcząc między sobą.

— Jeśli się waszmość upieracie, żeście mój mąż, ozwała się po chwili pani burmistrzowa, powiedźcież mi przez łaskę swoją, jaki mam znak na lewej ręce?

— Czerwony znak krzyża śgo, odpowiedział nie ująknawszy się burmistrz, wypieczony przez matkę, panią Katarzynę, gdy cie uciekając czasu najazdu, we wsi na mamkach zostawiła. Nie prawdaż?

— Prawda! mogłeś się tego jednak dowiedzieć, rzekła figlarnie jejmość — ale powiedz lepiej, co mi dał mąż na drugi dzień po ślubie?

Burmistrz szepnął jej w ucho ostrożnie, nie chcąc niewiasty zawstydić.

— Dałem ci pomnę, z dziesięć dobrych razów po grzbiecie.

Pani burmistrzowa zaczerwieniła się cała i zawołała.

— Ale z kądże u licha twoja młodość wróciła?

— Posłuchajcie tylko, rzekł Słomka siadając. Wszyscy zgromadzili się koło niego, a on jął im opowiadać obszernie całą swoją historję, zakławszy ich wprzód na tajemnice św. Trójcy, żeby o tem więcej nikomu nie wspominali. Powiedział im, jak się z mistrzem ułożył, jak usnął, jak wstał młodym, ale za to zapłacił; potem jął czarnoksiężnika pod niebiosa wynosić, zachwalać jego osobliwą naukę i zręczność. Zdumiewali się przytomni i w głowy zachodzili. Niektórzy mając



go jeszcze za impostora, zadawali mu różne pytania, lecz wkrótce przekonali się, że był w istocie nie kim innym, tylko burmistrzem *in persona*, odmłodzonym cudowną sprawą mistrza.

Zaraz tedy żwawo wzięli się wszyscy na cześć jego do kielichów i do tańca, odprawując jakby nowe, drugie wesele dwojga małżonków lepiej teraz dobranych. Odprawiono uroczystie burmistrzostwa do łożnicy, poczem wszyscy się rozjechali i rozeszli. Uważano że p. burmistrzowa rada była bardzo zamianie starca na młokosa, nie wiem tylko na jak długo. Brat zaś burmistrza, który spodziewając się że p. Słomka zemrze *improvis et sterilis*, wyciągał ręce po dziedzictwo i wczesnie się nawet z przyszłą wdową o *geradę* targował, z bardzo kwaśną miną oddał mu rejestra i klucze powierzone.

Zaraz nazajutrz gruchnęła wieść po miasteczku i okolicy o odmłodzeniu cudownem p. Słomki; mianowicie zaś między staremi wielkiego narobiła halasu. Gądano o tem z dodatkami, po wsiach, po zamkach, po dworach i miasteczkach, tłumy starców zgrzybiałych wlokły się do mistrza; ale Twardowski jakby przewidując to zniknął.

U drzwi jego mieszkania siedział tylko posępny Maciek, odpowiadając wszystkim:

— Nie ma pana mistrza doma.

Dokąd się udał mistrz nie wiadomo, zapewne zdala, usunąwszy się od teatru samego, przypatrywał się swemu dziełu.

---



## ROZDZIAŁ XIX.

### Jako Maciek ciężko pokutuje za swoją chciwość.

W głowie Maćka wielkie dzieło, którego z mistrzem dokonał, stało się powodem długich rozmyślań. Dumał on nad tem, jak się to stało, jakimi sposoby, jakimi przybory, przypominał sobie najmniejsze okoliczności, i nieraz przychodziła mu do głowy myśl szalona, czyby nie godziło się spróbować, ażali nie potrafi sam doświadczenia powtórzyć.

— Doskonale wszystko pamiętam, myślał powtarzając każde niemal słowo mistrza. Znam ziola, czas ich zbioru, sposób urządzenia; czemużbym to i ja nie miał spróbować tej sztuki? To by mi dało okrutnych pieniędzy, za te pieniądze kupiłbym sobie wieś pod Krakowem, byłbym panem jak drudzy, pojechałbym z pocztą na dwór królewski, ożeniłbym się z panną krakowską \*), którą widziałem ongi u Panny Marji, a potem jadącą kolasą do zamku.

— Dla czegoż, mówił do siebie, nie miałoby mi się to udać, kiedy się to mistrzowi udało? Wszystko co on zrobił i ja zrobię łatwo, przypominając więc sobie zaklęcia, słowa, formuły magiczne, powtarzał Maciek w duchu:

— I ja to zrobię łatwo! zrobię pewnie!

Dziwił się tylko sam sobie, że chociaż pamiętał wszystko, nie wiele jednak rozumiał, co go wszakże mało obchodziło, był bowiem z tych ludzi, którzy słowa i formy za samą rzecz i jej istotę mają, nie patrząc reszty. Gdy tak siedząc na przyzbie rozmyśla, zatrzymał się jeździec u wrót domostwa, i przywiąza-

\*) Wojewodzianka.

wszy konia do kółka, szedł ku niemu.

Był to widocznie dworzanin jakiegoś pana, suknie jego były barwiane widocznie; za nim jechało tylko pachole. Ubranie okazywało że odbył kawał drogi, okryty był kurzawą, parę pistoletów miał u pasa, lekką szablę u boku, głowę okrytą mycką z wyszarzanem piórkiem, u butów ogromne żelazne ostrogi.

— Bóg z wami, rzekł do Macieka, mówiono mi w mieście, że to gospoda sławnego mistrza Twardowskiego z Krakowa.

— Nie zwiedziono was, ona to jest właśnie.

— Niech im Bóg da zdrowie za dobre ukazanie, rzekł dworzanin, wyjmując list z za nadrza. A jest w domu?

— Dawno go już nie ma.

— Nie ma? ależ powróci?

— Nie prędko, odpowiedział Maciek. — Czegoż to od niego żądacie?

— Jest tu do niego ważna sprawa od mego pana, starosty..... jest i pisanie do Twardowskiego. — Ale cóż to pomoże kiedy go nie ma w domu i nie prędko pewnie powróci.

— Może też ja co na to mogę, rzekł Maciek drżącym głosem podnosząc się. — Bom ci ja uczeń jego i zastępcę. — A potem dodał cicho: co on może to i ja mogę uczynić.

— Doprawdy? przebaknął z niedowierzaniem dworzanin, doprawdy? a przeczytajcież to pismo.

Pismo było otwarte i Maciek tyle się tylko z niego dowiedział, że żądano pomocy mistrza w sprawie ważnej, którą miał opowiedzieć zaufany dworzanin, oddawca pisma.

Schował więc list za nadrę i spytał go śmiejąc:

— Powiedz-że mi waszmość o co tu chodzi — pisanie to na waszmości kładnie, że o wszystkim wiesz i opowiesz dokładnie.

— Jest to tak tajemna sprawa, że waham się jej komukolwiek wyjawić. — Jednakże jeśli jesteś uczniem i zastępcą mistrza...

— Każdy ci to poświadczy, jeśli chcesz, odpowiedział Maciek, wskazując ręką na miasto.

— Wierzę iż tak być musi, rzekł po chwili dworzanin i poczał:

— Trzeba waszmości wiedzieć, że nasz pan starosta od lat kilku zachorzał gorzej niż kiedy. Nogi mu nie służą, oczy mgłą zachodzą, ręce się i głowa trzęsą, zęby lecą do ostatka, ledwie że nieborak duszy z kaszlem nie odda. A toć to mu przyszła chęć na tę niedołężną starość ożenić się.

— Ożenić się! powtórzył Maciek; hem, hem, ożenić!

— Tak, tak — a do tego jeszcze z młodą dziewczką pana kasztelana, blizkiego sąsiada i powinowatego swego; wszystko to w nadziei potomstwa, bo jako ostatni swego imienia i herbu, musiał by na swym pogrzebie kazać strzaskać tarczę herbowną, aby jej na potem nikt nie śmiał używać, a to mu nie w smak idzie. Aliście panna jejmość kasztelanka płacze a płacze, a sobie go wielce nie życzy za męża, bo starszy od jej ojca i mówi, że takie małżeństwo, byłaby to oczewista obraza Boska. A zatem i księża ichmość powtarzają w tąż, od nich nabechtani. Jużemy nie wiedzieli spełna co z tem począc i jak temu poradzić, gdy się tu wieść rozeszła o panu burmistrzu Słomce, co to go pan Twardowski odmłodził. Powiedziano to i panu staroście. Zrazu nie wierzył, posłał potem po burmistrza, bo go kiedyś znał, a obaczywszy i usłyszawszy rzecz wszystką z ust jego, uwierzył z wielkiem podziwieniem. Aż w niego zaraz inny duch wstąpił i rzekł: — Choćby mnie to cały mój skarbiec kosztować miało, dokażę ja i na sobie tej sztuki. Zaczem wezwał mnie do siebie i posłał z informacją do mistrza, ofiarując łatwo dużą sumę, byleby mu to uczynił.

— Wieleż naprzykład? zapytał ciekawie Maciek.

— Tysiąc złotych węgierskich, odpowiedział dworzanin. Mam je nawet w pasie i u siodła częściami, jeśli by je zostawić wypadło mistrzowi, kazano mi je oddać pod jego oblig.

— Ha! ha! rzekł Maciek kiwając głową, mogę ja

tego bardzo dokazać sam i bez mistrza, bo i burmistrza nie kto młodził, tylko ja.

Te nieszczęsne tysiąc złotych spokusiły go tak bardzo, że się już nawet odważył głośno przyrzekać.

— Jeśli chcecie, dodał, pora po temu, mam maście i oleje, zabiorę je i pojedziemy. Postarajcie się tylko waszmość konia w miasteczku, a ja tymczasem co potrzeba przygotowuję.

— Ale — ale — bekał trochę niespokojny dworzanin, jesteś-że waszmość pewny, że dokążesz tego na co się podejmujesz? Idzie tu i o życie znacznego pana i o wasze własne.

— Jestem najpewniejszy, rzekł jakając się Maciek, który nie miał już czasu cofać się. — Bądźcie spokojni, w tem moja rzecz, i dodał spoglądając z ukosa na trzos u pasa dworzanina — nie pierwszy to raz zdarza mi się coś podobnego. Kiwnął jeszcze głową i dodając sobie ducha zawołał wpół do niego, wpół do siebie:

— Nie takie to my rzeczy robili.

— Pamiętajcież dobrze, dodał jeszcze raz dworzaniu, że tu i o waszą skórę chodzi.

— No, no, idźcie tylko po konia na miasto.

Stało się jak chciał Maciek, którem w głowie powtarzając nieustannie wszystek porządek ostatniej roboty, niedawnej jeszcze i dobrze mu przytomnej, poszedł po słoiki i po flaszki, a dworzaniu pospieszył za koniem. Zabrawszy co było potrzeba, wsiedli i pojechali.

Nad wieczór staneli w zamku pana starosty.

Stał on na wzgórku piaszczystym i wyniosłym a nad okolicą panującym. Otaczał go mur i głęboka fosa, po rogach sterczały baszty okrągłe zwane rondelle, nakryte spiczastymi daszkami. Tam i sam przedarte w murze długie okna dla hakownic i szmigownic, inne dla większych dział służyły.

Wśród wałów i murów stały w części czerwone, w części szare zabudowania zamkowe, których tylko nierówne kominy wyżej muru okólnego wznosiły się. Pod zamczyskiem rozpołożone było miasteczko złożone z chałup mieszczańskich i kilku żydowskich wpół mu-

rowanych domostw. W pośród nich płynęła brudna rzeczulka, nad którą kołysały się biedne, poobcinane wierzby.

W rynku mieściny była drewniana stara cerkiew, osadzona drzewy, czerniejąca zdala, za nią na wzgórku białął parafialny kościółek. Z poza dachów zaś żydowskich wysoki łamany dach bożnicy sterczał, zakończony błyszczącą gałką u wierzchu.

Taka to była stolica starostwa..., do której po tegiem błocie wjeżdżali dworzanin z Maćkiem. Na ich przybycie spuszczone most, otwarto wrota i chociaż tego wieczora sam pan się nie ukazał, Maciek był gościnnie przyjęty czem tylko zażądał. Najadł się tego, napił nie gorzej i w osobnej obszernej izbie sklepionej układał się na dobrem łożu na spoczynek. Całą noc jednak spać nie mógł, w głowie swej przewracając i przypominając robotę, do której się gotował, trochę już niespokojny o siebie, że się za śmiało puścił. Skutkiem zapewne tych gwałtownych wysiłków umysłu pomieszało mu się i poprzewracało w głowie w najlepszy sposób, jednakże nie stracił jeszcze zupełnie odwagi, a myśl o tysiącach złotych dodawała ubywającej.

Nazajutrz kazał sobie dać drugą izbę, wannę, stoły i wziął się do przygotowań. Starosta jeszcze się nie pokazał. Maciek ucierał maście, zawsze smaczno zjadał, popijał weselo, ale jak przyszło do snu, sen go nie brał, bo był niespokojny, pragnąc jak najprędzej skończyć rozpoczęte dzieło. Było jednak wiele jeszcze przygotowań przed zaczęciem, które się ledwie we dwa dni ukończyły. Cały ten czas nie widział starosty i ledwie dwa razy przechodząc się po zamku słyszał jego kaszel wkomnatach. Drugiego dnia oznajmiwszy że wszystko gotowe, poszedł obejrzeć zameczysko. Mimowolnie przychodziło mu na myśl, że jeśli się nie uda dzieło, trzeba by sobie zapewnić środki ucieczki; próżno jednak z tą myślą zamek oglądał. Trzeba było mieć skrzydła ptasie, żeby tego dokazać. Maciek się bardzo zmieszał odkryciem, ale się jeszcze nie cofnął.

W wyznaczonej godzinie, wsparty na ramieniu dwo-

rzan, wtoczył się starosta. Na widok starca śmiertelny dreszcz przeszedł po skórze Maćka. Wstyd tylko z jednej, chciwość z drugiej, głupstwo z trzeciej strony utrzymywały go w przedsięwzięciu.

Oddalili się wszyscy i natychmiast Maciek dał starcowi usypiający napój, którego wybornie skutkował natychmiast. Gdy jednak już ciało w kocioł miał wrzucać, przypomniał sobie, że z niego wyjąć trzeba było duszę. Uczynił to, ale z pośpiechu zapomniał naczynia w które ją zamknął zaszpuntować, i swobodna dusza uleciała.

Wszystko dalej szło pomyślnie, lecz gdy już przyszło nazad duszę w ciało wpuścić, aby odmlodzone ożywiła, Maciek jej nie znalazł. Próżno kręcił się, wołał, szukał, dmuchał i chuchał, byłby dał i swoją gdyby mógł. — Trup pana starosty leżał odmlodzony i świeży, ale bez duszy. Męczył się ciężko Maciek i biedował dni kilka, aż widząc wreście że nic z tego być nie może, postanowił już nieciekać. Poznali wszakże słudzy po skłopotanej minie, po przeciągniętej nad obietnicę i zakreślenie czasu robocie, że lichy w niej jakieś być musi. Tak pilna straż ściśle otaczała zamek, że się wymknąć nie było podobna.

Gdy się go dopytywano kiedy się robota skończy, odpowiadał zawsze — jutro — posyłał po nowe ziło, składał zwłokę na to lub na owo — nie było już nadziei chyba w ucieczce.

— Licho mnie spokusiło wdać się nie w swoje, myślał, siedziałbym był lepiej spokojnie. Te tysiąc złotych przyjdzie mi samemu gardłem zapłacić.

Ciężko mu tedy było na sercu i nie widząc już żadnego ratunku, chybaży się cud nad nim pokazał, sposobił się na śmierć. Jednego wszakże wieczora, gdy się słudzy pospali, wymknął się jakoś z zamku i dopadł bramy, która nie pilnie była na on czas strzeżona, przesunął się przez most, wyleciał w pole; ale nieprzytomny, co się miał ukryć gdzie w bok uskoczyćszy, poszedł drogą. — I to go zgubiło.

Wnet obejrzawszy się słudzy poszli za nim w pogon



i schwytali go na staję ledwie od miasteczka, a zwiawszy odprowadzili do zamku i posadzili w wieży. Dano znać krewnym i urzędowi. — Zjechali się prędko kollateralni starosty dziedzice, nie bardzo płacząc i kontentując się westchnieniami, które z lada piersi bez wielkiego mozoln wydobyc łatwo. Sprowadzono księży, a gdy w wielkiej sali odbywały się żałobne wigilie za duszę, która z faszki nleciała, w drugiej sali zasiadał sąd, który *primo impetu*, nie wiele myśląc, wydał wyrok na Maćka, jako na czarnoksiężnika — bardzo ostry, który jednak z pewnych przyczyn zmietygowano na stos prosty i leciuchne spalenie bez żadnych innych mąk.

Pogrzeb odbył się wspaniale, na którym za trumną, w łańcuchach, z pochodnią w ręku szedł Maciek, dziwo-wisko tłumu. Równie wspaniale gotowali się dziedzice pana starosty spalić czarnoksiężnika, jako sprawcę jego śmierci.

Tak Maciek dla tysiąca złotych, na które się połąkomił, miał iść na stos. Dzień już nawet był wyznaczony, w rynku nawieźli drew mieszczenie, sprowadzono kata co go miał palić. Było to w sobotę, w wigilią śmierci. nazajutrz sprawiedliwość ludzka miała go upiec na węgiel.

Maciek pobożny, bo wychowany w Krakowie, gdzie od dzieciństwa wszystko do niego nabożeństwem przemawiało, w ostatniej chwili pomyślał, że jest drugi świat i inny jeszcze ogień, poprosił o księdza. Choć pomagał mistrzowi do szatańskich jego spraw, on sam nie widział nigdy szatana, złości się swoich uczynków przez głupstwo nie domyślał, nie zaparł się był Boga, a skrucha przyszła w ostatniej godzinie.

— Zasłużyłem na to co mnie czeka, wołał płacząc, zgine przez głupstwo moje.

Te słowa mruczał właśnie w kątku ciemnicy, gdy drzwi wieży się otwarły i wszedł ksiądz jakiś podróżny, bo proboszcz i wikary miejscowy nie wrócili byli jeszcze z pogrzebu, powiódłszy ciało starosty do rodzinnych grobów u Augustjanów w Brześciu Litewskim.

Ciężko płakał Maciek klękając do spowiedzi, otworzył wreszcie usta i zawołał łkając:



— Ojcie! zgrzeszyłem bardzo.

Przerwał mu śmiech z pod kaptura mniszego wychodzący, a w tej chwili z okienka wieży padający na twarz księdza promień światła ukazał mu oblicze mistrza.

Na ten widok załękł się bardziej jeszcze Maciek i padł na ziemię twarzą, bo sądził że go sroga zemsta czeka i kto wie co jeszcze, za wmieszanie się w sprawę, która do niego nie należała wcale.

— No, Maćku, rzekł Twardowski, ślicznieś sobie poradził, jesteś o krok od stosu i żadna siła ludzka już cię ocalić nie może. Wpadłeś jak mysz w polapkę.

— Ach! wiem o tem, zawołał, ale mnie te przekłete tysiąc złotych skusiły, i głupia moja zarozumiałość, mistrzu.

— Zawsześ był uczciwym chłopcem i dobrym sługą, dodał mistrz, po cóż ci było wdawać się w to czego nie rozumiesz i rozumieć nie możesz?

— Nie wymawiaj mi już panie, odpowiedział z płaczem, pójdę na śmierć, ale srożej od bliskiej śmierci gryzie mnie moja niewdzięczność, żem chciał przed tobą, mój dobroczyńco, ubiedz te nędzne tysiąc złotych.

— Cóżbyś ty mi zrobił, czem byś mi zawdzięczył, gdybym cię jeszcze ocalił?

— Co? rzekł uradowany Maciek podnosząc się. Mistrzu! cóż ja ci zrobić mogę? moja dusza byłaby twoją na wieki, cały byłbym tylko dla ciebie!

— Przysiędziesz mi, że będziesz służył wiernie, i że spełnisz każdy mój rozkaz, bodajby najcięższy, do litery?

— O! mistrzu, przysięgnę i dochowam przysięgę — pójdę z tobą choćby do piekieł, wszędzie, zawsze będę twoim więcej niż sługą, niewolnikiem, psem.

— Pamiętaj na co przysięgłeś i chodź za mną, rzekł mistrz, ale jeśli złamiesz przysięgę, śmierć cię nie minie.

— Bodaj spadła na moją głowę pierwszej chwili, kiedy pomyślę cokolwiek przeciw tobie, mistrzu.

— Teraz więc chodź a milcz.

To mówiąc wziął go za rękę, i otworzywszy drzwi

wyszedł. Dziwił się Maciek, że ich straż puściła, ale bardziej jeszcze zdumiał i osłupiał, gdy po chwili kazał mu z okna kamienicy poglądać w rynek mistrz.

— Spalenie czarnoksiężnika, którym ty jesteś, rzekł, przyspieszono, patrzaj co się dzieć będzie.

Widział Maciek na własne oczy swoje, siebie drugiego, swoją postać, Maćka, wiedzonego na śmierć; czuł się ocalonym i bezpiecznym, nie pojmował tego i płakał nad tamtą swoją postacią, patrząc na smutną jej minę. Chciał pytać o wytłumaczenie mistrza, lecz nie śmiał. Tłum wielki ludu siedł za skazanym, patrzeć na męczeńską śmierć jego. Mistrz także z Maćkiem prawdziwym stał i patrzył. Wiedziono Maćka na stos, przywiązano do pala, podłożono ogień; aż gdy już buchnął i płomienie objęły stos, postać Maćka zmieniła się nagle w kul słomy. Lud ujrzawszy to dziwo, uciekać począł żegnając się — zerwał się wicher, rozniósł stos po miasteczku, płonąć zaczęły domy, a gdy Twardowski z Maćkiem uciekali, za nimi świeciła czerwona luna płonącej miejsciny i słychać było słabnące coraz krzyki w oddaleniu.

— Pamiętaj-że na co przysięgłeś, rzekł mistrz do Maćka, bo teraz znowu powrócim do Krakowa.

**Koniec tomu pierwszego.**





# SPIS DZIEŁ

wydanych

## w Bibliotece powieści i romansów WE LWOWIE

od października r. 1870, aż do dnia dzisiejszego.

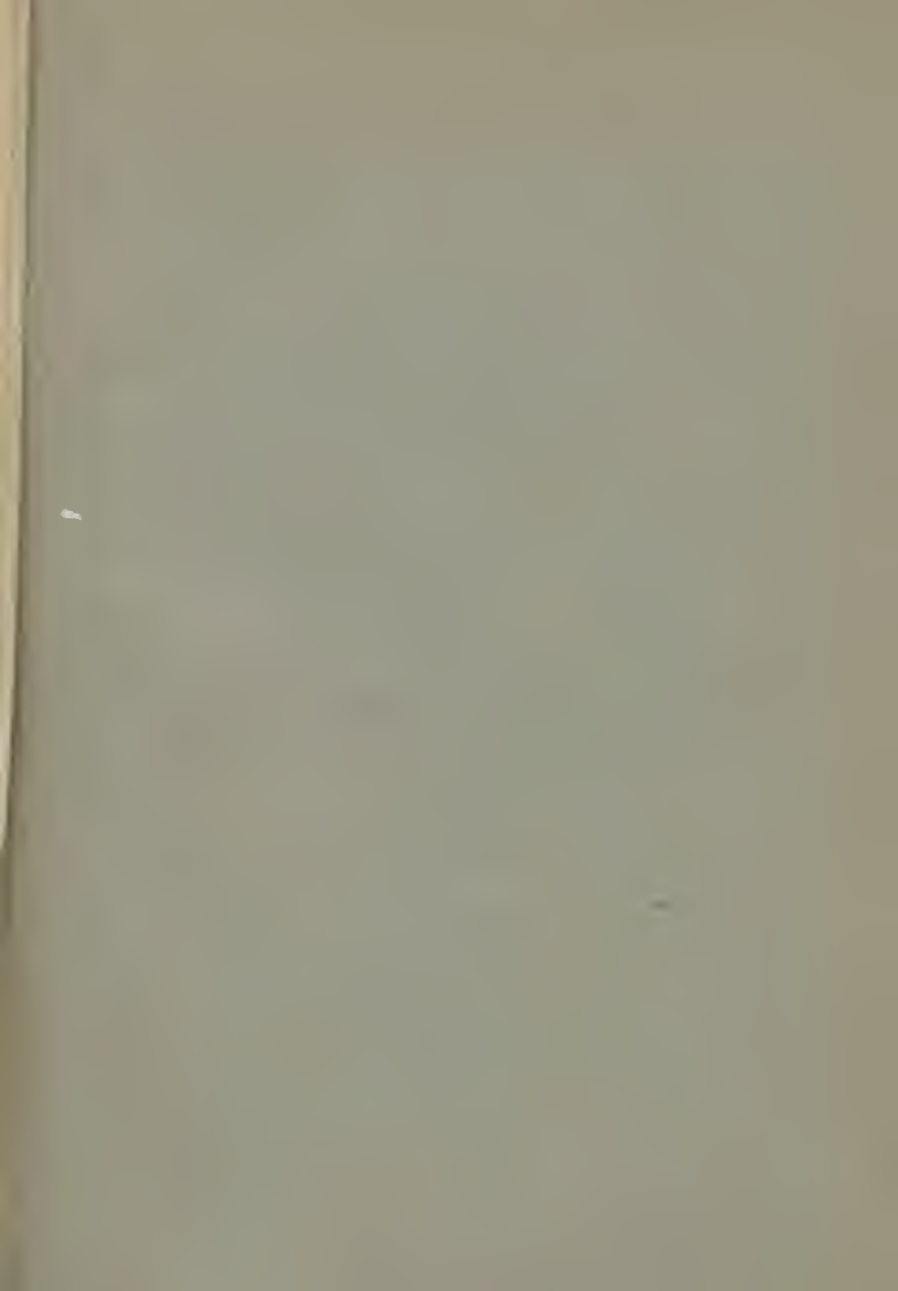
1. **Tajemnice klasztoru neapolitańskiego.** z włoskiego.
2. **Arabia de Camors.** przez Fenilleta, z francuskiego.
3. **Klemencja.** powieść hiszpańska, przez Fernana Caballero.
4. i 5. **Klub Pickwicka.** przez Dickensa, z angielskiego.
6. i 7. **Być albo nie być.** powieść szwedzka, przez Z. M. Schwartz.
8. i 9. **Gdzie winowajca?** powieść tłum. z francus. E. Gaborian.
10. i 11. **Pieniądz i imię.** powieść szwedzka, przez Z. M. Schwartz.
12. **Poświęcenie kobiety.** powieść Eugeniusza Berthoud, z francus.
- 13., 14. i 15. **Niccolo de Lapi.** powieść historyczna, z włoskiego, przez M. d'Azeglio.
16. **Pomniejsze powieści** M. W. Hohola, z rosyjskiego.
17. i 18. **Opactwo Carrow.** przez J. F. Smith, z angielskiego.
19. **Dygnitarze.** romans meksykański, przez P. de los Rios.
20. **Piękna Pani.** powieść oryginalna J. I. Kraszewskiego.
21. **O Zmroku.** przez Wilkie Collins'a, z angielskiego.
22. **Synowie Barona,** czyli Anioł z ulicy Westerlang, powieść szwedzka, przez Kiellmāna Goeraussona.
23. **Na Cmentarzu — na Wulkanie,** powieść współczesna, przez J. I. Kraszewskiego.
24. **Żona męża próżnego,** ze szwedzkiego, przez Z. M. Schwartz.
25. i 26. **Akta kryminalne l. 113.** przez Gaborian, z francuskiego.
27. **Rina.** romans włoski, przez Wiktora Bersezio.
- 28., 29. i 30. **Pan Graba.** powieść przez E. Orzeszko.
31. i 32. **Wina i Cnota.** przez Z. M. Schwartz, ze szwedzkiego.
33. **Przeznaczenie,** powieść napisana według oryginału francuskiego w 2 częściach, przez Ludwika Enault.
34. i 35. **Wojewódzic,** powieść oryginalna, przez Gryzonja.
36. i 37. **Czarny Matwij.** powieść z życia ludu górskiego, przez Walerego Łozińskiego.
38. i 39. **Kto chce kochać, cierpieć musi.** przez Karola Reade, z ang.
40. **Powieści** K. P.
41. i 42. **Zmierzczy i Swity,** powieść współ. przez T. Szumskiego.
- 43., 44., 45. i 46. **Bolesć i Radość,** powieść współczesna z angielskiego, przez J. F. Smith.
47. **Na dwóch krańcach,** powieść oryginalna, przez P. Wilkońską.
48. i 49. **Skazaniec.** romans z angielskiego, p. Charles Reade i Don Boucicault, 2 tomy w jednym.
50. **Panna czy Pani?** powieść przez Wilkie Collins'a z angielskiego.
51. i 52. **Czarna ręka.** romans historyczny, ze szwedzkiego przez C. F. Ridderstadta, 2 tomy.
53. **Pamiętniki Daniela.** powieść współczesna napisał Józef Tretyak.
54. i 55. **Angiola Maria.** powieść włoska, przez Carcano, dwa t. w jednym.
56. **Namiętności,** powieść ze szwedz., napisana przez Z. M. Schwartz.
- 57 i 58. **Straszna gospoda.** powieść H. Smytha z ang., 2 tomy w jednym.
- 59 i 60. **Powołanie.** powieść przez P. z L. Wilkońską, 2 t. w jednym.
61. **Rok zamęzcia.** przez E. Carlen, powieść. przekład T. Szumskiego, 2 tomy w jednym.
- 62 i 63. **Ricuzi. Ost. tni trybun rzymski,** powieść histor. przez L. Bulwera, 2 tomy, przekł. z angielskiego B. R.

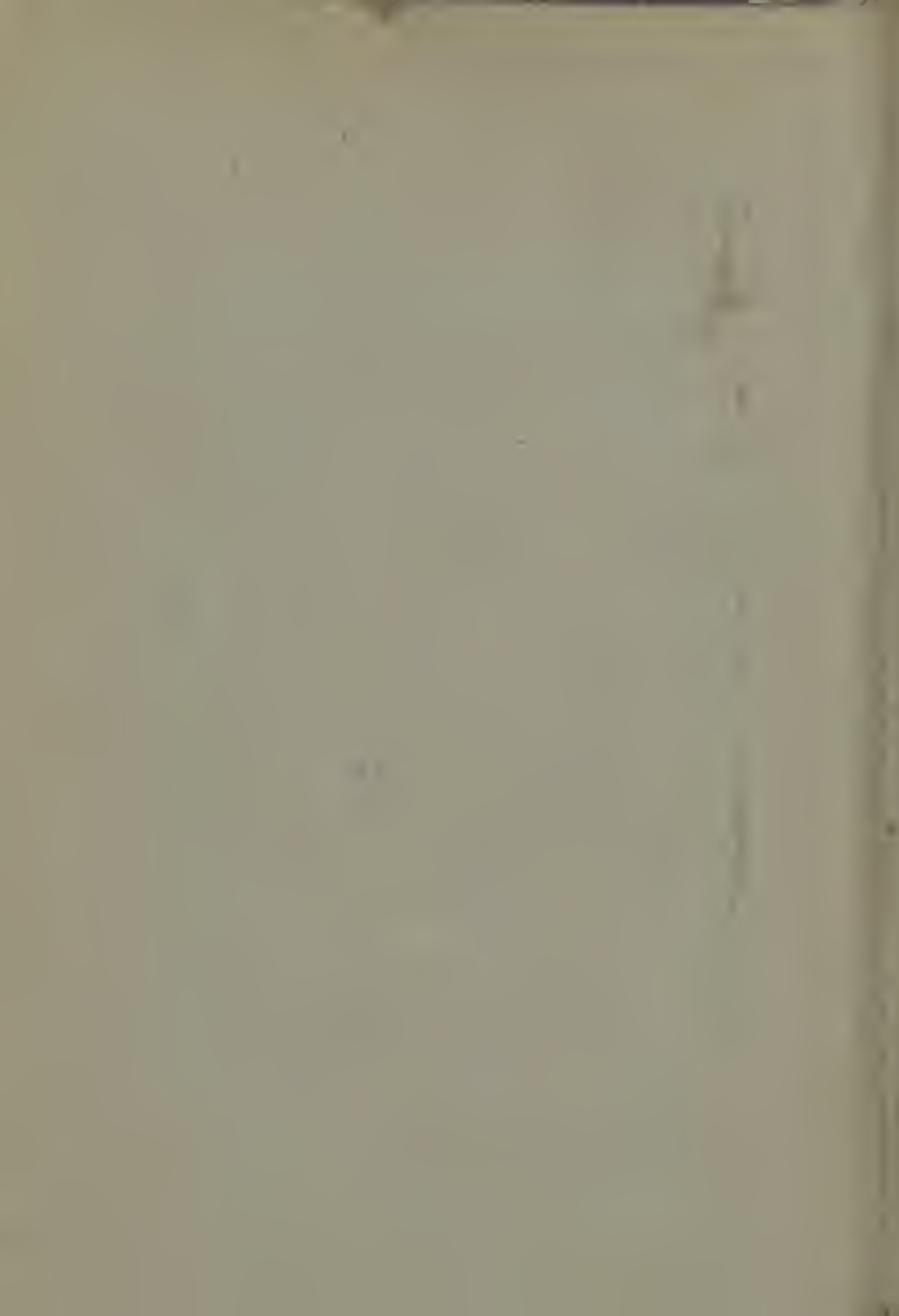
## Z zupełnego wydania

POWIEŚCI J. J. KRASZEWSKIEGO

wyszło dotychczas tomów:

- Dwa Światy. 1, 2, 3, 4.  
Chata za wsią. 5, 6, 7.  
Poeta i Świat 8, 9.  
Pod włoskiem niebem. 10.  
Stary sługa. 11, 12.  
Dziwadła. 13, 14.  
Ostrożnie z ogniem. 15.  
Latarnia Czarnoksiężka. 16, 17, 18, 19.  
Historja o bladej dziewczynie. 20.  
Ładowa Pieczara. 21.  
Pamiętniki nieznajomego. 22, 23.  
Powieść bez tytułu. 24, 25, 26, 27.  
Czercza Mogiła. 28.  
Miljon Posagu. 29, 30.  
Ostatni z Siekierzyńskich. 31.  
Latarnia Czarnoksiężka. Serja II.; 32, 33, 34 i 35.  
Djabeł 36, 37, 38 i 39.  
Jermoła. 40.  
Zygmuntowskie czasy. 41, 42, 43 i 44.  
Tomko Prawdzic. 45.  
Złote Jabłko. 46, 47, 48 i 49.  
Żacy krakowscy w roku 1549. 50.  
Komedjanci. 51, 52, 53 i 54.  
Podróż do miasteczka. 55.  
Budnik. 56.  
Całe życie biedna 57.  
Metamorfozy. 58, 59 i 60.  
Historja Kołka w Płocie. 61.  
Mistrz Twardowski. 62.  
Pod prasą:  
Mistrz Twardowski. 63.









Biblioteka Raczyńskich

JK 1435



JK1435

JK  
1435  
T  
18